

VarArt

pismo kulturalno-literackie
NR 01/2023 (58)



www.wbp.olsztyn.pl



ISSN 2080-1483

STANISŁAW CZACHOROWSKI

Tkanka twórcza

Wszystko składa się z czegoś. W każdym obiekcie możemy wyróżnić jakieś elementy składowe. Jednak w zapale analitycznego wyodrębniania coraz to mniejszych elementów możemy zgubić sens i funkcjonowanie całego obiektu. Niech za przykład posłuży nam anatomia dzidy. Jak każdy wie, dzida składa się z przeddzidzi, śróddzidzi i zadzidzi. Z kolei przeddzidzie dzidy składa się z przeddzidzi przeddzidzi dzidy, śróddzidzi przeddzidzi dzidy i zadzidzi przeddzidzi dzidy i tak dalej... Poza strukturą ważną jest także funkcja. Ta jest jednak trudniej dostrzegalna. Wymaga dłuższej obserwacji i starannejszej analizy.

Miasto jest jak organizm – składa się z różnych elementów. Czasem używamy nawet podobnych określeń na ich części składowe, np. tkanka. W biologii tkanką nazywamy zespół komórek o podobnej budowie i pełniących określoną funkcję. Budowa i funkcja są ze sobą mocno powiązane. Mamy więc tkankę mięśniową, tłuszczową, nerwową, łączną itp.

Porównywanie miasta do organizmu ma sens. Wskazuje na system powiązanych ze sobą i współdziałających elementów. Jest jakaś struktura i sposób działania. Jeśli są dobrze zaplanowane i współdziałają, to zapewniają trwałość i dobre funkcjonowanie. W organizmie to oczywiście – wadliwa budowa szybko przynosi śmierć i rozpad. Rany i ubytki lub tworzące się chorobowe tkanki nowotworowe (taka niekontrolowana samowola nowo powstających tkanek) zwiastują rychły koniec. Wiele milionów lat ewolucji i dostosowywania budowy do coraz efektywniejszego działania przyniosło znakomite rezultaty organizacyjne. Wszystko działa jak w zegarku.

Gdy organizm rośnie i zmieniają się proporcje, następują także zmiany strukturalne. A jak jest z miastami? Czy podlegają zmianom i optymalizacji swojej struktury? Bo jak z historii wiemy – jedne miasta się rozwijają, inne zamierają i rozpadają dysfunkcyjnie. W jednych żyje się lepiej, w innych gorzej.

W miastach i w organizmie są elementy bardziej i mniej widoczne. Jeśli analizujemy własne ciało, to zwracamy uwagę na szkielet (kości), mięśnie, układ krążenia, układ nerwowy. Zazwyczaj pomijamy niezwykle ważną tkankę – tkankę twórczą (np. komórki macierzyste). Gdy widzimy okazałe drzewo, to dostrzegamy gruby pień, liczne gałęzie, liście, domyślamy się rozległego systemu korzeniowego. A co z tkanką twórczą? Tą na wierzchołkach pędów i tą umożliwiającą rozrost pnia na szerokość? Zedrzymy z pnia korę, uszkodzimy tkankę twórczą, a drzewo zacznie usychać i zamierać. Tkanka twórcza na ogół nie zajmuje wiele miejsca w organizmie. Komórki są małe i niezróżnicowane, bez specjalnych cech i zauważalnej specjalizacji. Obecne w naszym ciele

nieliczne komórki macierzyste na co dzień wydają się niepotrzebne. Kusi, by na nich „zaoszczędzić”, ale to z nich powstają wszystkie inne tkanki i potem narządy.

W mrowisku taką „tkanką twórczą” jest samica królowa składająca nieustannie jaja. Z nich wylęgają się larwy, które w zależności od sposobu karmienia rozwijają się w poszczególne kasty mrówek różniących się morfologią i wypełnianymi zadaniami. W mrowisku także nie widzimy królowej matki – niewidoczna i ukryta gdzieś w głębi mrówczego kopca, chroniona i strzeżona przez robotnice.

A co w mieście jest taką tkanką twórczą, zapewniającą rozwój, trwanie, zablźnienia ran, uzupełnianie ubytków? Jak zadbać o jej trwanie? Gdzie szukać analogów do komórek macierzystych? Gdzie są te miejsca społecznych inkubatorów, z których wylęgają się niezbędne inicjatywy, gdzie toczą się ważne dyskusje, tworzące naszą przyszłość? Nie mylić z władzą i zarządzaniem, które moglibyśmy porównać do tkanki nerwowej, zapewniającej rozchodzenie się sygnałów i sterującej procesami zachodzącymi w organizmie miejskim.

Organizm, który straci tkankę twórczą, skazany jest na śmierć i destrukcję. Mniej lub bardziej powolną, lecz destrukcję. Każdy organizm chroni swoją tkankę twórczą, swoje komórki macierzyste. Bo dzięki nim może trwać w kolejnych pokoleniach, dzięki nim może się rozrastać, doskonalić i naprawiać wszelkie uszkodzenia.

Jak wygląda miejska tkanka twórcza? Co nią jest i gdzie się mieści? ■



Rys. Karolina Lewandowska

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Tkanka twórcza

04 WYWIAD

Z PROF. STANISŁAWEM CZACHOROWSKIM rozmawia MONIKA STĘPIEŃ:
Najpierw poznać i zrozumieć jak...

07 POEZJA

URSZULA KOŚCIŃSKA: Wiersze

08 PROZA

AGNIESZKA POROWSKA: Irygacja

09 PROZA

MONIKA HAUSMAN-PNIEWSKA: Sierpniowy skwar

10 POEZJA

XII EDYCJA KONKURSU LITERACKIEGO *O TRZCINĘ KORTOWA*

12 PROZA

JURIJ SEREBRIANSKY: Kazachstańskie bajki

14 POEZJA

PAWEŁ LEWANDOWSKI, KRYSZYNA ARCISZEWSKA: Wiersze

15 DEBIUT

FRANCISZEK „FRANEMEK” HEBAL: Wiersze

15 W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

ZOFIA ANNA PUSZCZ: Pokój

16 GALERIA

ZOFIA ANNA PUSZCZ

18 KRÓTKA FORMA

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK:
Olsztyńskie rzeźby – stalowe organy

20 INICJATYWA

MAŁGORZATA CZAPLARSKA: Samemu idzie się szybciej, razem dociera się dalej

21 HISTORIA

MAGDALENA WAŁKUSKA: Śmierć „Odrodzenia”
– archiwum Muzeum Warmii i Mazur

22 SZTUKA

Z DR. PAWEŁEM NAPIERAŁĄ rozmawia ARKADIUSZ ŁUBA:
Niekonwencjonalna wystawa

25 INICJATYWA

KATARZYNA GUZEWICZ: „Less” zamiast „zero”

26 REGION

WIKTOR MAREK LEYK: Laudacja – XXXV edycja Nagrody
im. bp. Ignacego Krasickiego

28 REGION

MAGDALENA MALINOWSKA: Leśne przyjemności

29 INICJATYWA

MARTA POŁTORACZYK: Fundacja Wsparcia Nauki i Biznesu,
Mazurski Uniwersytet Ludowy w Ełku

30 NA KOŃCU

Z MARTĄ ANDRZEJCZYK rozmawia MAŁGORZATA SADOWSKA: Krople nasercowe

Mnogość tkanek warunkuje wielkie sprawy i malutkie istnienia, o czym opowiadają prof. Czachorowski i dr Napierała. Wspólnie opowiadamy tkanki, które nas budują – tkanki łączne pomiędzy prozą, poezją a emocją i twórcą (Serebriansky, Kosińska, Porowska czy Hebal). To, co przeplata się w mieście (Wałkuska), w codzienności (Puszcz), w społeczeństwie i organizacjach (Czaplarska, Połtoraczyk), w człowieku i naturze (Guzewicz). Opisujemy to, co pokrywa powierzchnię i linie narządów wewnętrznych. Co jest kostne i prążkowane, miejskie i nerwowe. Malutkie. Najważniejsze.

Żywa tkanka

Redakcja



VariArt



VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483

Nr 01/2023 (58)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.wixsite.com/olsztynart; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Urszula Maciąg,

Anna Rau, Anita Romulewicz, Monika Stępień, Małgorzata Sadowska

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Pierwsza strona okładki: Przemek Kozak, skład: Iwona Bolińska-Walendzik

Czwarta strona okładki: Aleksandra Ossowska – z cyklu kolaży z tomiku „Silne wahania nastroju”

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

Zrealizowano przy współudziale finansowym

Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

Z PROFESOREM STANISŁAWEM CZACHOROWSKIM rozmawia MONIKA STĘPIEŃ

NAJPIERW POZNAĆ I ZROZUMIEĆ JAK...

O przeplataniu się tkanek krajobrazu, nauk, spojrzeń. O wielkich sprawach i malutkich istnieniach. O uniwersytecie otwartym i ekosystemie zamkniętym z prof. Stanisławem Czachorowskim, ekologiem, hydrobiologiem, entomologiem i felietonistą rozmawiała Monika Stępień.

Monika Stępień: Zacznijmy od szerokiego punktu widzenia. Co ubogaca bardziej – krajobraz biologa czy biolog krajobraz?

Prof. Stanisław Czachorowski: Na pewno krajobraz ubogaca biologa. Skala krajobrazu jest skalą naszej, ludzkiej percepcji przyrody – dostrzegamy nie tylko pojedyncze gatunki, lecz także całe zbiorowiska, ekosystemy. Poprzez swój ruch penetrujemy cały krajobraz i go doświadczamy. Zwłaszcza dla ekologa krajobraz jest nieustającą inspiracją i zaciekawieniem. To tu rozgrywają się różne dramaty, przygody i uwidaczniają się procesy sukcesji ekologicznej i procesy ewolucyjne. Organizm w środowisku – nierozdzielna całość i kontekst. To wszystko widać właśnie w skali krajobrazu.

Biolog jest człowiekiem, niezwykle gatunkiem wywierającym olbrzymi wpływ na otaczające nas środowisko. Jesteśmy gatunkiem kluczowym dla biosfery. Biolog, odkrywając zasady przyrody, może pokazywać, jak być w krajobrazie, by nie niszczyć środowiska. By *homo sapiens* nie był samobójczym destrukтором. Czasami więc biolog ubogaca krajobraz, na przykład w mieście w postaci łąk kwietnych, ogrodów deszczowych, zadrzewionych skwerów.

Trafia Pan na listę 100 osób, które w sposób szczególny przyczyniają się swoją aktywnością do rozwoju świadomości cyfrowej oraz umiejętności pozwalających na skuteczne wykorzystywanie technologii cyfrowej. Dziś w naszym życiu jest mnóstwo technologii – czy przez to oddalamy się od natury?

Od przyrody, od natury oddalaliśmy się i bez technologii. Naturze przeciwstawiamy kulturę i to od wieków. Czyli wszystko to, co przekształca i ujarzmia naturę. Często z negatywnym skutkiem. Cenimy wygolone trawniki, zmeliorowane strumienie i rzeki, bo od razu widać rękę człowieka. Land art jest też wywieraniem wpływu, lecz nie rzuca się od razu w oczy.

W ewolucyjnym sensie technologia to także natura, kolejny etap różnicowania się zjawiska życia, opanowywania przez procesy życiowe nowych obszarów. Od samego początku przekształcamy własne środowisko i to tak bardzo, że nie nadąża za tym ewolucyjna adaptacja naszych organizmów. Nie jesteśmy przystosowani do środowiska, które tworzymy. Stąd tyle chorób cywilizacyjnych, np. krótkowzroczność,

nadwaga itd. Technologia to tylko jeden z elementów. Uczymy się żyć z technologią, niczym organizmy jednokomórkowe, które postanowiły żyć we wspólnej kolonii. Jest bezpieczniej przed drapieżnikami, lecz jednocześnie jest inaczej – ciasniej, więcej interakcji. Tworzą się zupełnie nowe systemy komunikacji, zupełnie nowe struktury. Patrząc oczywiście z ewolucyjnego punktu widzenia. Jeszcze jedna innowacja gatunku społecznego.

Najpierw był język. Mowa zmieniła nas niezwykle i umożliwiła tworzenie coraz liczniejszych grup, pozostających w kontakcie, i więzi. Potem było pismo, pierwsza istotniejsza pamięć zewnątrz. Wtedy też pojawiła się komunikacja i edukacja zdalna. Pismo, zwłaszcza drukowane, pozwoliło na zintegrowanie jeszcze większych społeczności. Zmieniło nam mózgi i sposób myślenia. Teraz o tym nie myślimy. A nowe technologie są kolejną wielką innowacją społeczną i komunikacyjną. Za tą zmianą także nie nadążamy. W przyrodzie nic nie jest trwałe, zmiany i ewolucja są immamentną cechą życia. Także naszego.

Częściej patrzymy w ekran niż na krajobraz wokół nas. Z tego względu oddalamy się od natury. Jednocześnie jednak za pośrednictwem ekranów i technologii podglądamy naturę. I mamy okazję zobaczyć więcej niż nasi przodkowie. To paradoks, bo z jednej strony technologia oddala nas od natury, a z drugiej strony przybliża i pozwala lepiej zrozumieć. Wszystko jednak zależy od naszego umysłu, na czym się koncentrujemy i co dostrzegamy: czy szklankę do połowy pełną czy do połowy pustą. Mnie osobiście technologia pozwala zobaczyć więcej i bardziej przybliżyć się do natury.

A jak zmieniło się przez lata życie naukowe i akademickie? Od wielu lat wychodzi Pan z edukowaniem poza tradycyjne ramy punktozy, ocenozy, wykładania wiedzy „w ławkach”...

Tak jak i całe społeczeństwo, zmienia się również sposób uprawiania nauki i funkcjonowania uniwersytetów. Jesteśmy w trakcie poważnej metamorfozy. Nowe czasy, nowe wyzwania potrzebują nowych sposobów uprawiania nauki i edukacji. Środowisko akademickie jest zintegrowaną częścią całej społeczności. Zmieniamy edukację nie dlatego, że kiedyś wymyślono szkołę źle, lecz dlatego, że zmienili

się społeczne i cywilizacyjne okoliczności. Tak jak zmieniamy odzież zimową na wiosenną. Po prostu dostosowujemy do aktualnych warunków pogodowych. I też przychodzi nam to z pewnym bezwładem i opóźnieniem.

Lepiej rozumiemy ludzki mózg i procesy uczenia się. Motywować możemy przez strach (edukacja przemocowa) lub ciekawość. W strachu niewiele zapamiętujemy, jednak uczymy się posłuszeństwa. Wobec wyzwań nowego i ciągle zmieniającego się świata przydatniejszymi kompetencjami wydają się kreatywność i umiejętność współpracy. Dlatego właśnie powoli, lecz systematycznie, dokonują się zmiany w systemie edukacji. Nowe technologie z jednej strony wymuszają zmiany, a z drugiej je umożliwiają. Obecnie uczymy się przez całe życie i w różnych miejscach. Nauczyciel zmienia się w edukatora i projektanta. Dobrze to opisują dwa neologizmy: nauczeń (nauczyciel i uczeń w jednym) i projekcyciel (edukator-nauczyciel projektujący przestrzeń i sytuacje, w których się uczymy). Bardziej uczymy się, niż jesteśmy nauczeni. Punktoza i oculoza to strategie uczenia się i pracy w orientacji na punkty i oceny. Strategie coraz bardziej niewydolne we współczesnym, innowacyjnym społeczeństwie. Odchodzenie od nich jest trudne. Tak jak od nadmiernej konsumpcji towarów jednorazowego użytku. Niemniej widać proces. Sam również próbuję zmieniać edukację wokół siebie. Czyli tam, gdzie mam wpływ. I tak jak każdy proces badawczy, ten też jest obciążony błędami i pomysłami. Cała nauka składa się z nieustannych błędów i ich poprawiania w kolejnych eksperymentach.

W Pana naukowej postawie splatają się laboratoria i filozofia, akademickie badania i akcje społeczne – co daje takie przeplatanie tkanek? Pomaga odkrywać nowe czy uniknąć wypalenia?

Przede wszystkim różnorodność pozwala na unikanie wypalenia. Choć i ono mnie często dopada. Konieczne jest ciągle poszukiwanie sensu. Bo tylko wtedy czujemy się dobrze. Świat jest całością, tylko roboczo dzielimy go na różne dziedziny i pola aktywności. Powinnością uniwersytetu jest poznawanie świata (badania naukowe) i dzielenie się rezultatami nie tylko z innymi specjalistami z całego świata, lecz także ze społecznością lokalną. Z podatkami, którzyłożą na badania i na uniwersytety. Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w moim odczuciu, poza sensownymi



Fot. z archiwum S. Czacharowskiego

ambicjami dorównywania najlepszym ośrodkom międzynarodowym, jest także uniwersytetem prowincjonalnym. W sensie bycia dla prowincji i wzbogacania kapitału kulturowego Warmii i Mazur. By efekty pracy były użyteczne tu i teraz. Dlatego właśnie często biorę udział w różnego rodzaju akcjach społecznych. To forma aktywnej edukacji pozaformalnej oraz transferu wiedzy. Nie tylko wielkie wynalazki czy przełomowe technologie, ale i te mniejsze innowacje dostępne dla małych i średnich przedsiębiorstw. I to bez patentów i licencji. Ot na przykład taka maść czarownic do latania (jako lokalny produkt gastronomiczny) czy malowane dachówki (streetart w połączeniu z integracją i animacją społeczną). Projekty realizowane ze studentami (nauka przez działanie) oraz z absolwentami. Dlatego, by zawsze czuli wsparcie swojego macierzystego uniwersytetu. Więź nie tylko na czas studiowania, lecz także długoletnia współpraca. Wspólne odkrywanie i wspólne działanie.

A literatura? Oprócz częstego podkreślania, jak ważne są w naszym życiu książki, sam Pan pisze, chociażby w „VariArcie”... Co słowa dają profesorowi, hydrobiologowi?

Literatura jest formą opowieści, dawnego wynalazku ludzkości, gdy nauczyliśmy się mówić. Udoskonaliliśmy go przez kilkadziesiąt tysięcy lat... Osobiście preferuję niezwykle ciekawą literaturę faktu. Człowiek jest gatunkiem społecznym, a literatura (opowieść utrwalona literami, linearnym pismem) jest formą komunikacji i utrzymywaniem więzi. Wchodzą nowe technologie i zmienia się także sposób opowiadania: filmem, obrazem, memem, emotikonami. Jak to Jacek Dukaj nazwał – przechodzimy do natychmiastowego przekazywania emocji, już bez pośrednictwa

pisma. Mówiona opowieść przerodziła się w literaturę, a ta teraz zmienia się w wielowarstwową opowieść z obrazem. To kolejna duża rewolucja w komunikacji. Obecność na blogu czy w „VariArcie” to praktyczne poszukiwanie nowej formy uniwersytetu... otwartego. I nowej formy wykładów w małych porcjach i dla bardzo zróżnicowanego odbiorcy.

W jednym z wywiadów podkreślił Pan, że marzył o tym, żeby zostać kosmicznym podróżnikiem i kolonizatorem nowych planet. Czy mikroświaty w biologii zaspokajają to marzenie? A może pojawiły się nowe?

W Kosmosie można podróżować zbiorowo i zastępczo. Te marzenia we mnie pozostały – eksploracja Kosmosu i ekspansja człowieka poza Ziemię. W jakimś stopniu będzie to falsyfikacja hipotezy Gai czy Noosfery jako nowego poziomu organizacji. Jeśli uda się przeszczepić biosferę na innej planecie, to będzie potwierdzenie tej hipotezy. Ważne z filozoficznego punktu widzenia. Poznając tajemnice życia w skali mikro i makro, zbliżamy się do technologicznych możliwości skolonizowania Marsa czy innej planety. To takie badawcze „sprawdzam”. I wtedy okaże się, czy rozumieliśmy, na czym polega ekosystem i dlaczego jest tak zróżnicowany. Podzielam przekonanie, że świat jest całością. A wtedy dokładne poznanie jednego ziarenka piasku pozwala zrozumieć całą pustynię. Procesy zachodzące w całym Kosmosie widoczne są także na Ziemi. Tak więc nienależnie gdzie jesteś, możesz uczestniczyć w poznawaniu całego Kosmosu. I poszukiwaniu sensu, tego indywidualnego i tego wspólnotowego. Można być pośredniczącym podróżnikiem kosmicznym – podróżować myślami, wyobrażeniami, pragnieniami i za pośrednictwem innych. Śledzę eksplorację Kosmosu i czuję wspólnotę z tymi, którzy podróżują poza Ziemię osobiście lub za pośrednictwem sond kosmicznych i teleskopów. Każdy z nas może w tym uczestniczyć, bo potrzebni są ludzie przeglądający zdjęcia wykonane przez aparaturę. I to siedząc w domu przed swoim komputerem. Taką fenomenalną współpracę umożliwia współczesna technologia.

A czym jest dla Pana dziedzictwo przyrodnicze?

Przeszłością wpływającą na teraźniejszość i przyszłość. Jest korzeniami, bez których nie przeżyje żadne drzewo. Jest poszukiwaniem tożsamości. Dla mnie dziedzictwo jest odkrywaniem warmińskości. Nową tożsamością jest dla mnie Wimlandia – odkrywanie współczesnej tożsamości Warmii i Mazur bez skansenowej skostniałości. W biologii także jest ważna przeszłość. Nowe gatunki nie powstają od zera, są przekształceniem wcześniejszych. Dla mnie dziedzictwem jest energia odnawialna, zachowanie krajobrazów i ekosystemów, zrównoważony rozwój oraz streetart w postaci malowanych dachówek czy kamieni porożkładanych w warmińskich miasteczkach. I oczywiście z QR, by i w ten sposób krajobraz cittaslow przenikał się ze sztuką i nowymi technologiami. I z dobrostanem człowieka.

I tak przechodzimy do drobnych istnień, czyli do entomologii. Czego w tak małym świecie nie powinien robić człowiek?

Nie powinien niszczyć. Życie ma charakter wspólnotowy. Nie przetrwamy bez innych elementów ekosystemu, w tym bez owadów. Są małe, niezwykle zróżnicowane, z bogatą przeszłością kulturową, mitami, zwyczajami, etnografią. Poznając owady, można poznawać i człowieka, jego kulturę i cały Kosmos.

I w tych wszystkich Pana działaniach szczególnie wyróżnia się jeden mały bohater – wodna sówka, chrząszcz. W Japonii go jedzą, w Olsztynie podziwiają – skąd to szczególne zainteresowanie?

Przypadek. I naukowa specjalizacja. Jeszcze jako student w kole naukowym, gdy podjęliśmy się badań rezerwatu „U źródeł rzeki Łyny”, podzieliliśmy się grupami bezkręgowców. Jedna osoba nie jest w stanie zajmować się wszystkim. Najpierw myślałem o jętkach, ale w próbie ze źródeł Łyny jętek nie było, za to liczne były chrząszki. To się nimi zająłem. A nie było łatwo. Najpierw korzystałem z czeskiego klucza. Nie dość, że przedmiot badań trudny, to i język stanowił barierę. W tamtych czasach dostęp do fachowej literatury i słowników obcojęzycznych był bardzo trudny. Pisałem listy i szukałem kontaktu ze specjalistami. O chrząstkach ciągle wiem zbyt mało i wciąż dowiaduję się nowych rzeczy. A to dzięki współpracy z innymi. Nauka ma charakter wspólnotowy i zespołowy. Nikt nie wie wszystkiego, każdy wie coś, razem wiemy ogromnie dużo.

Co możemy zrobić dla małych i dużych istnień na co dzień? Jak ocalać przyrodę wokół nas? Tworzyć nowe technologie czy racjonalnie stopować rozwój?

Najpierw poznać i zrozumieć, jak wzajemnie jesteśmy od siebie uzależnieni. Człowiek nie może istnieć poza społeczeństwem ani poza naturą. Chroniąc przyrodę, tak naprawdę przede wszystkim chronimy samych siebie. Jest jeszcze szacunek dla przyrody. Niektórzy z nas podchodzą do tego jeszcze inaczej – z szacunkiem dla dzieła Stworzenia. W tym sensie dewastacja przyrody, z chciwości czy głupoty, jest sprzecznością z Bogiem, jest świętokradztwem.

Jakich spotkań więcej Panu życzyć – z owadami czy ludźmi?

I jednych, i drugich. Jak już kilkakrotnie wspominałem, człowiek jest gatunkiem społecznym – nie może istnieć bez innych ludzi i kontaktu z nimi. Nie może też żyć bez kontaktu z naturą. Spotkania z owadami są ważne, bo to poznawanie natury. A o każdym odkryciu warto opowiedzieć innym, podyskutować. Tak więc spotkania z owadami i tak kończą się spotkaniami z ludźmi. Jest o czym opowiadać. Niby tylko o owadach, ale jednocześnie i o sensie, i o całym Kosmosie. ■

URSZULA KOSIŃSKA

Wiersze

KALEKA RUCH WSTECZNY

rysy twarzy znieruchomiły
w śmiertelnym stężeniu
całe życie psychiczne
i cała zwierzęca ekspresja
widoczna na zewnątrz
skupiły się w pokrytej
włosami czaszce
w klatce piersiowej
i w kończynach
impulsy głębokiej jaźni
objawiają się na zewnątrz
wychodząc ruchem wstecznym
od twarzy
oddychanie i funkcjonowanie
zmysłów węchu wzroku słuchu
i mowy
całe na wskroś ludzkie
promieniowanie istoty
wyraża się poprzez poruszania
piersi i ramion włosów kości
nogi i stopy
nie ma oczu ale słyszy
i słucha
nie ma ust lecz mówi
a nawet się uśmiecha
nie ma czoła lecz myśli

JAK OMINAĆ CZERŃ

ustaje ochota na cokolwiek
nagle życie ulega amputacji
bez powodu
choroba nieuleczalna krążąca
po orbicie zagłady
od sprzecznych rytmów pęka
mi serce
każdy włos z mojej głowy
myśli o czymś innym
jestem człowiekiem
poranionym niewiadomą ręką
zabłąkaną strzałą chaosu
jestem ludzka lecz niepokromiona

przestaję się bać

PORZĄDEK RZECZY

łamię sobie głowę
nad krzyżówką zdarzeń
może mnie cudzy los
włączy w jakiś schemat
na witrażu ciągłych olśnień
myśl ostatnia zakręciła się
wokół szuflady
niedokończonych spraw
może wystarczy przystanąć
żeby ogarnąć całość
podskórne tajemnice
knowania jeliit
skurcze i rozkurcze
meandry krążenia
obie półkule mózgu
wymieszały dane
poza oczywistość

URSZULA KOSIŃSKA – (ur. 1954 r.) od ponad 38 lat związana zawodowo z kulturą oraz stale obecna w działalności społecznej na rzecz rozwoju życia kulturalnego Olsztyna i województwa. Współpracuje na płaszczyźnie literackiej m.in. z Olsztyńskim Klubem

Literackim przy Miejskim Domu Kultury, grupą literacką Półkowniczki. W 2014 roku wydała swój debiutancki tomik poezji „Czerwone szpilki”, a drugi „Życie wewnętrzne” w 2017 roku.

AGNIESZKA POROWSKA

Irygacja

Wieczorem pod prysznicem energicznie zdrapywała z siebie wszystko, czym obrośła, mając nadzieję, że chociaż raz czysta i nowa położy się spać. I taka wstanie.

Zmieniała melodyjki i budziki, i zawsze świeżą pościel – na coraz nowszą i nowe początki.

I na nowe, w domyśle zawsze lepsze, sny.

Zielona, czerwona, jasna czy ciemna poduszka codziennie rano nosiła nocne ślady walki.

Wydzielinę z rozdrapanych ran za uchem, pot i tży.

Nie. Łez nie było. Pod tym względem była jak z kamienia.

Wielokrotnie w życiu próbowała się zacisnąć. W sensie dosłownym? Czy w przenośni? Nieważne. Teraz jedno i drugie w końcu się udało.

Płyn do płukania ust, który był już cogodziną rutyną przynosił natychmiastową ulgę. Trwała pięć minut.

Różany płyn do mycia, ananas, zielona herbata, męski Old Spice, Davidoff czy kobieca Chanel zupełnie się nie sprawdzały.

Każdy kolejny zapach powodował przyspieszone bicie serca, z rodzaju tych nieprzyjemnych.

Najwięcej piekących ran w skórze wypalał delikatny, żółty płyn Bambi, ten z kaczuszką. Ten, w którym do dwunastego roku kąpał ją jej ojczym. I tak lubił używać potem świeczek i perfum.

Najchętniej kąpałaby się w Domestosie. Smarowała maścią.

Taką na zakażenia. Zakażenia myśli i skóry.

Najchętniej jadłaby kulki z Kreta. Zapijała spirytusem.

Były dni, że dawała radę tylko sałacie. (Nie mylić z kapustą!)

Żadnych płynów, żadnych gazów, żadnego śluzu.

Tylko te w nocy... ale to bezwiednie!

Nawet już nie miesiączkowała. Nie zniosłaby tego niepokoju związanego z widokiem plam na majtkach.

Nawet jeśli nie byłyby już od obtarć.

Samo wyobrażenie tego, że w jej brzuchu niekontrolowanie co miesiąc narastałyby coraz to nowe, mięsiste tkanki, sprowadzało koszmary.

Szczęśliwie przyjmowane od kilku lat tabletki działały.

Huk wiecznie wirującej, do granic możliwości wyeksploatowanej pralki po nocach budził sąsiadów.

Pięć razy zmieniana w ciągu dnia bielizna nie mogła zalegać po kątach.

Żelazko buchało parą. Odkurzacze miał dwa etaty.

Każda zmiana planów i choćby o milimetr przerosnięty paznokieć wprawiał w popłoch, niezauważony na czas niewyrwany włos sprawiał ból.

Jedyną kartą stałego klienta, jaką posiadała, była ta u zaprzyjaźnionego deratyzatora. Profilaktycznie odwiedzał ją kilka razy w roku.

Dobrze było mieć upust na te wypełzające spod zlewu robaki, szkodniki, wspomnienia, cienie.

Uczucie lekkości i sterylności było niedoścignionym marzeniem jej życia.

Jak wyczyścić się jeszcze bardziej?

Jak wypłukać z przeszłości?

*Pamięci M. ■

AGNIESZKA POROWSKA — dziennikarka, copywriterka, freelancerka. Stypendystka MKiDN 2022 w dziedzinie literatury. Laureatka dziennikarskiej Nagrody im. Seweryna Pienińskiego za rok 2020. Związana z olsztyńskim Teatrem Ruchu Lustro.

Sierpniowy skwar

Kap, kap... na pozostałych stronach książki pojawiły się mokre plamy. Pot spływał jej z czoła prosto na zdanie zaczynające się od słów: Tego lata... Zawsze kiedy było upalnie, najbardziej pociła jej się głowa. Natychmiast robiła się cała mokra, jakby od nadmiaru gorąca skraplały jej się myśli.

Pot mieszał się ze łzami, które bynajmniej nie były wynikiem przetrawianej książki. Płakała od kilku miesięcy, bez przerwy, nawet rano mokra poduszka kleiła się do policzka. Wcześniej, odkąd pamięta, nie uroniła ani jednej łzy, nawet kiedy boleśnie upadła i rozkrwawiła sobie kolano, zafakała tylko do środka, ale oczy miała przeraźliwie suche.

Jakiś czas temu zebrała się wreszcie i poszła na masaż. Bolał ją bark, ale młoda kobieta, z którą szybko nawiązała serdeczną znajomość, zaproponowała jej także masaż głowy. — Jesteś bardzo spięta — przekonywała. Było przyjemnie, ciepło, bezpiecznie. W pewnym momencie usłyszała w głowie dźwięk, jakby ktoś odkorkowywał butelkę, tylko ciszej i delikatniej niż to zazwyczaj bywa w samotne wieczory. Poczuta zalewającą falę ciepła, jakby z miejsca, które się uwolniło, wylał się gęsty płyn. Dziwne uczucie — pomyślała. Przyjemne, ale i niepokojące. Wieczorem obejrzała film i zaczęła płakać. Nie połączyła faktów, bo historia była rzeczywiście smutna, ale gdy poranek zaczęła od pochlipywania, które zamieniło się w regularną rzekę łez, coś ją tknęło.

Nie, nie, to było jednak dwa lata temu. Któregoś dnia powiedziała mu po prostu, że się wyprowadza. Woli żyć sama, niż samotnie we dwojkę. Może jeszcze ułożą sobie życie osobno, jeszcze nie jest za późno. Wcale w to nie wierzyła. Wydawała się sobie stara i dzika.

Był wtedy smutny i jakiś taki wygnieciony, nawet kwiaty przyniósł jej miesiąc wcześniej na urodziny, co skwitowała z sarkazmem. Pomógł jej zanieść kartony do samochodu, przyszedł do wynajętego mieszkania założyć Internet i dzwonił tak często, że nieco zbyt gniewnie zakończyła ten proceder. Nie jadali mięsa, ale tego dnia, w nowym mieszkaniu zjadła z satysfakcją kielbasę psu. Potem już było tylko gorzej.

A może to się zaczęło wtedy, gdy była nastolatką i nie rozumiała, co z jej ciałem i głową robią hormony. Gdy szukała ojca w zbyt dorosłych dla siebie facetach, a znajdowała samotność i upokorzenie. Gdy nie miała żadnej osoby, której mogłaby położyć głowę na ramieniu i zapytać, co, kurwa, dalej? A nawet jeśli kogoś miała, to nie wiedziała, co z tym ramieniem zrobić.

Albo jeszcze wcześniej. Miała pięć, siedem, dwanaście lat i musiała być dorosła. Broniła matki przed pijanym ojcem, czuwała nad młodszym bratem i wstydziła się przed koleżankami, że ma TAKI dom. Każdego ranka stawała przed lustrem i poprawiała swój mały pancerz, żeby nie było w nim żadnej luki, żeby nie wy dostała się żadna głupia łza.

Sierpniowy skwar w mieście był nieznośny. Od jakiegoś czasu piła bardzo mało wody, po tyczku zaledwie do śniadania i po kolacji. Pociła się za to niemiłosiernie i cały czas płakała. Po kilku godzinach na słońcu zakręciło jej się w głowie i zaczęła gorzej widzieć. I jakby wreszcie mniej czuć. W końcu zasnęła wyczerpana na ławce, pod rachitycznym drzewkiem, które nie dawało cienia. Lekarze mówili, że się odwodniła i że pomoc przyszła za późno. Jakiś tyk miłości mógł ją jeszcze uratować. ■

MONIKA HAUSMAN-PNIEWSKA — (ur. 1969 r.) nadesłany tekst jest debiutem literackim. Nagradzana podczas Ogólnopolskich Spotkań Mediów Lokalnych i w Konkursie „Obywatel Reporter” organizowanym przez Stowarzyszenie CAL i Tygodnik „Polityka”. Psychoterapeutka od ponad 20 lat związana z organizacjami pozarządowymi o charakterze pomocowym.

XII EDYCJA KONKURSU LITERACKIEGO *O TRZCINĘ KORTOWA*

REFLEKSJE JURORA

Wiersze nadesłane na XII edycję Konkursu Literackiego *O Trzcinę Kortowa* miały zróżnicowany poziom. Te, za które uczestnicy zostali nagrodzeni i wyróżnieni, intrygowały językiem, wyobraźnią, śmiałym stosunkiem do rzeczywistości. Jak zwykle dominował temat miłości. Młodzi próbowali krytycznie spojrzeć na świat. Przegadane wiersze jury odrzuciło po pierwszym czytaniu. Poezja lubi niedomówienie. Zdziwiłem się, że zarówno studenci, jak i uczniowie nie odnieśli się w swoich wierszach do inwazji rosyjskiej na Ukrainę. W poprzednich edycjach tematyka wojenna występowała, a w tym roku nie przesłano ani jednego wiersza o wojnie. Uczestników obchodzą sprawy dramatycznego wchodzenia w życie dorosłe, zaburzone relacje międzyludzkie, problemy domowe. Są skorzy do buntu antycywilizacyjnego, opowiadają o swoim lęku przed odebraniem im wolności. Uczniowie i studenci piszą o tym, co ich boli.

Zbigniew Chojnowski

W Międzynarodowym Dniu Języka Ojczystego – 21 lutego 2023 r.

WERDYKT XII KONKURSU LITERACKIEGO *O TRZCINĘ KORTOWA*

Jury w składzie: prof. Zbigniew Chojnowski, prof. Beata Tarnowska oraz dr Sabina Kowalczyk i dr Piotr Przytuła 14 lutego 2023 r. postanowiło przyznać nagrody.

W GRUPIE STUDENTÓW

I miejsce: Natalia Modzelewska (Wydział Humanistyczny)

II miejsce: Rozalia Bąk (Wydział Humanistyczny)

III miejsce: Natalia Serafin (Wydział Humanistyczny)

W GRUPIE UCZNIÓW

I miejsce: Bartosz Danisiewicz (II LO im. K.I. Gałczyńskiego w Olsztynie, opiekun literacki: Piotr Siwecki)

II miejsce: Maria Pawlikowska (III LO im. Mikołaja Kopernika w Olsztynie, opiekun literacki: Tomasz Kukliński)

III miejsce: Julia Sikorska (Zespół Szkół Nr 2 im. J. Śniadeckiego w Szczytnie, opiekun literacki: Ewa Napiórkowska).

Natalia Modzelewska

POMROWIK

siwe plamy zastaniają gwiazdy
i nie mam na co patrzeć kiedy boli
mnie głowa od ciężaru myślenia
błagam wszechświat o zmiłowanie
bo sam nie mam już dla siebie litości

jestem bezdomnym pomrowikiem
małym nagim i obrzydliwym
który nigdy nie pozna
domowego ciepła
mogę przebierać w muszlach
ale żadna nigdy nie pasuje
żyję sobie powoli modląc się
do ptaków by pokazały mi niebo
nie znam innych dróg do kosmosu
na drugą stronę czarnej dziury
to nie ten horyzont zdarzeń

Natalia Serafin

KONTROLA POKOLENIOWA

Wsiadam w autobus
Ż-99,
kupuję bilet.
Mijam dwa przystanki,
na trzecim
wsiada kanar
i pyta mnie o bilecik.

Zamiast go tylko sprawdzić,
zaczyna pełną kontrolę pokoleniową.
A ile Pani ma lat?
Wykształcona czy nie?
Mąż jest? Dzieci są?
– 24, wykształcona, nie ma
Wie Pani co, za moich czasów...
– już gdzieś to słyszałam

Kończy kontrolę,
odpowiadam
dziękuję za troskę
i wysiadam.

Rozalia Bąk
FemiNIE

Choć zrodziłam się z żebra
I dźwigam grzech
Z kobiety mi mało
Ktoś zabrał mi piersi
Ktoś zabrał mi biodra
W brzuchu zamiast motyli
Ciężar kamienny
Uciska narządy sprawiając ból
Rozrywa na strzępy kobiecość – kruchą porcelaną
Z którą obchodzisz się tak delikatnie

Bartosz Danisiewicz
DO WYSOKO POSTAWIONYCH
MĘŻCZYZN W GARNITURACH

gwiazdy już dawno spowite
dymem
z pojazdów
układających się
w łańcuch światła nadający
metropoliom namiastkę
świątecznej magii
dymem
przyciskania pedału gazu
by zarobić na miskę ryżu i przyjemność
z papierosów
które ludzie kupują
by zapomnieć o tym jak
z papierów
układacie nam sterty wyższe niż
temperatury na termometrach
ukradliście nam wszystkie kotysanki
arytmicznie śpiewających ptaków
i poruszających się na wietrze zastłon
zastąpiliście je warkotem aut
którymi zderzacie się jak dzieci
zastąpiliście je krzykiem reklam
którymi zmuszacie nas do kupowania wrażeń
chcemy was oskarżyć
o żerowanie na naszych pragnieniach
o to że rzucamy się sobie do gardeł

Maria Pawlikowska
EROTYK NIEDOŚWIADCZONYCH

Bądź dla mnie ogrodem.
Dotykaj trawą moje bose stopy.
Daj mi zostać, chociaż chwilę dłużej...
Wśród rozmów ptaków i ciszy między ich śpiewem.
Ostoń nas krzewami i kryj przed ludźmi,
oni nie muszą widzieć piękna, które w tobie rozkwita.
Pozwól patrzeć jak z wiosną ci do twarzy,
upijać się słodkością lata i czekać na jesień pod

Nie daj mi czekać na gwiazdy,
Spal mnie słońcem.
Chcę bezustannie czuć zapach kwiatów
i świeżego powietrza, gdy wrócę do siebie...

Julia Sikorska
MOJE DEMONY POTRAFIĄ SKAKAĆ

Nie chcę widzieć,
Nienawidzę,
Nie czuję już tych słów.
Zapytam cię niepewnie „czy mogę to skończyć już?”

Miało być wszystko, nic nie znalazłam.
Czułam, słyszałam, nie byłam, nie znałam.
Koło przestało się toczyć, wracamy do punktu wyjścia.
Oczy się nie chcą otworzyć, nie udzielą mi tu pomocy.

Drzwi nie chcą się znaleźć, okna zakratowane,
Korytarz jest bez końca,
Tutaj nie znajdziesz Stońca.

Szukałam, bywałam,
Pamięć zamurowałam.
Nie chciałam, musiałam,
I zostałam do końca końca.

Księżyc brak na niebie, gwiazdy nie świecą jasno.
Planety zniknęły – powietrza też nam zabrakło.

Wdychamy tylko opary
Powstałe ze żrącego kwasu.
Żyły wypaliło, trucizny tu nam dolano.

Zgubiłam gdzieś klucze do mojego wielkiego pokoju.
Ale chyba nie chcę go widzieć,
Za dużo się tam wylało.

Wydało się to w końcu,
Że mowa tu nie o śmierci.
Czy mogę się już zamknąć
I wyrzucić me stare śmieci?

JURIJ SEREBRIANSKY

Kazachstańskie bajki

DOBRE OCZY

Niczym zielona kropla pośród stepu położone jest jezioro Tengyz. Woda w nim jest niezwykle stona, jak w najprawdziwszym morzu i chociaż nie nadaje się do picia, ludzie stepu i tak lubili robić sobie postoje nad jego brzegami. Gotowali posiłki nad ogniskiem, towili ryby w jeziorze.

Pewnego razu nad jeziorem przeleciało stado różowych flamingów, które udawały się w daleką podróż. Ostrożnie przysiadły i zauważyły, że z brzegu obserwują je dobre oczy.

Flamingi to niebywale piękne ptaki, a każde piękno, jak wiadomo, rozkwita od zachwyty. Ludzie stepu potrafili cenić piękno. Co roku oczekiwali przylotu flamingów, a co roku ptaki przylatywały nad jezioro, aby odpocząć w czasie drogi. Jednak pewnego razu nad brzegiem zabrakło dobrych i zachwyconych oczu. Ptaki zauważyły złe spojrzenie człowieka, który zabronił innym zbliżać się do jeziora i cieszyć się pięknem flamingów. Chciał oglądać ten cud jako jedyny.

Lecz ptaki całkiem dobrze wszystko wyczuwają. Od tamtej pory przestały zatrzymywać się nad jeziorem i wyłącznie spoglądały z wysokości na zieloną kropkę, przypominającą łzę na suchej twarzy stepu.

ZŁOTY ORZEŁ

Ludzie żyjący na przestworzach wolnego stepu zawsze mieli nieskomplikowaną flagę – błękitne niebo i złote słońce. Wszak słońce na niebie zawsze było nad ich głowami. Ludzie uważali je za swojego patrona. Pomagało im we wszystkim. Aż pewnego razu na stepie pojawił się ogromny orzeł. Aby się wyżywić, zaczął porywać owce. Mógł schwycić po jednej owcy w każdy ze swoich szponów.

Ludzie znosili go, co innego mieli zrobić. Nikt nie był w stanie zmierzyć się z orłem. Ale orłowi i to przestało wystarczać. Pewnego razu zobaczył flagę, wściekł się i zażądał, aby jego wizerunek umieszczono na fladze. Zamiast słońca.

Ludzie posmutnieli jeszcze bardziej – i bez tego ponosili przez orła dużo strat.

Niektórzy gotowi byli wziąć kopię i stanąć z nim do boju, choć zdawali sobie sprawę, że nie są w stanie wygrać z ogromnym ptakiem.

Ale co mieli zrobić. Namalowania orła podjął się pewien artysta. Orzeł przysiadł na ogromnym głazie i rozpostarł swoje straszne skrzydła tak, że artysta znalazł się w jego cieniu.

– W taki sposób niczego nie namaluję – powiedział odważny artysta. – Potrzebuję, żebyś wzbił się w niebo. Nie jestem wystarczająco utalentowany, aby malować to, czego nie widzę na własne oczy. Jednak bardziej utalentowanych ode mnie nie ma.

– Dobrze – odpowiedział orzeł i poderwał się do lotu.

– Wyżej, wyżej! – zakrzyczał artysta. – W innym razie słońce też znajdzie się na fladze.

– Wystarczy? – krzyknął orzeł z ogromnej wysokości.

– Nie. Mimo wszystko widzę słońce i nie mogę narysować tego, co chcesz. Powinieneś zasłonić sobą słońce! – krzyczał artysta ze wszystkich sił z dołu. – Wyżej! Leć na słońce!

Oczywiście orzeł okazał się na tyle głupi, że poleciał prosto w stronę słońca, aby je sobą zakryć. Gorące słońce natychmiast spaliło mu skrzydła i upadł jak kamień gdzieś w step. Nikt więcej o nim nie słyszał. Ale ludzie nie zapomnieli jego historii. Artysta namalował na fladze płonącego orła pod słońcem. Na znak tego, że nikt nie śmie mierzyć się ze słońcem na niebie.

DOKĄD SIĘ UDAŁO MORZE ARALSKIE?

Wszystkie morza na Ziemi to bracia. Trzymają się nawzajem za ręce, a właściwie to należy powiedzieć, że za rzeki albo obejmują się z ojcem oceanem. Ścisną mocno Ziemię jak okrągłą kulę, nie pozwalając jej się rozsypać jak wyschniętemu zamkowi z piasku nad brzegiem. Często się ze sobą kontaktują, dzieląc się

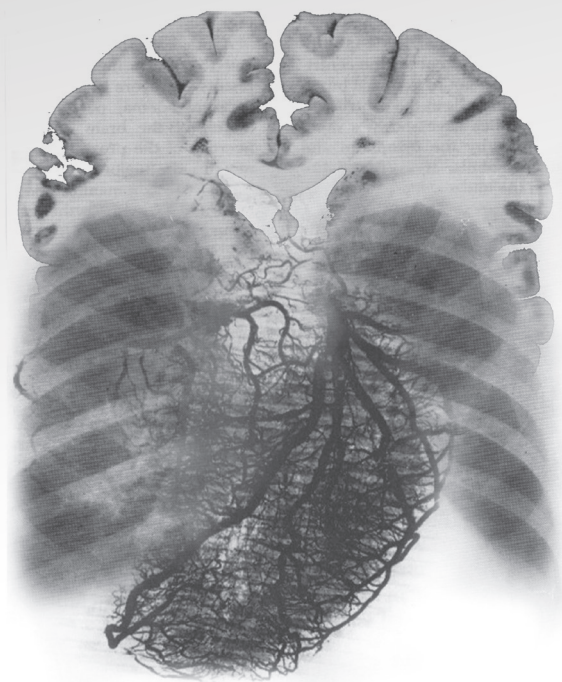
rybami, sekretami i śmieją się falami, gdy statki łaskoczą ich plecy, przemieszczając się w celu załatwiania swoich spraw. Gdy dziadek, stary ocean Tetyda, rozmieszczał je na Ziemi, wszystko przemyślał. Prawie wszystko. Dwaj bracia-morza zawędrowali tak daleko w głąb lądu, że zabłądzili. Stracili kontakt nie tylko z oceanem, ale i ze swoimi braćmi.

Zaczęli żyć pośród tego ogromnego lądu. Karmiły ich rzeki, pili wody podziemne. Lecz było im razem smutno tylko we dwoje, pamiętali, jak dobrze jest trzymać się za ręce z innymi braćmi. Otrzymywać informacje z tego krańca świata, gdzie akurat jest noc i dzielić się sekretami z oceanem. Dwóch braci otaczał tylko ląd. Pomyśleli o swoim losie, w końcu starszy brat, który ma na imię Kaspian, mówi do młodszego – Arala: „Udałbyś się bracie, na poszukiwanie naszego ojca, oceanu, a ja tutaj pobędę, poczekam, aż wrócisz albo podasz mi rękę”. ■

przeł. Marta Jabłońska

JURIJ SEREBRIANSKY – urodzony w Kazachstanie autor i tłumacz literacki z języków polskiego, angielskiego i ukraińskiego. Absolwent językoznawstwa na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Doktorant Szkoły Doktorskiej UWM. Ma w swym dorobku kilka książek prozatorskich i poetyckich. Wydawał prozę i poezję w czasopismach literackich w Kazachstanie, Polsce, Stanach Zjednoczonych, Rosji, Czechach, Szwajcarii oraz Chile. Od 2018 roku redaktor czasopisma „Litteratura”, członek PEN, członek-kandydat Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury STL, uczestnik International Writers Residency IWP 2017 w Stanach Zjednoczonych oraz festiwalu poetyckiego Struga Poetry Evenings.

CIAŁO



Kolaż z tomiku „Silne wahania nastroju”, Aleksandra Ossowska, 2023

PAWEŁ LEWANDOWSKI

BEZRADNY

przekręcę się w łóżku
bo z jeziora nieopodal
wyciągam sylaby moich snów
przecinam interpunkcją koszmary
wiec siedzę na nim cicho

zamknięty w czterech ścianach
wyobcowany
w paru innych nieznaczących wymiarach
gdy kurz dnia wczorajszego
zaleca mi się uspokoić

przekręcę się w łóżku
bo nie czuję jego bliskości

pragnę obudzić się w pełni
na ganku moich rad

rzucam tam papierosy
odbijają się od betonu
jak od południa

17/05/2023

PAWEŁ LEWANDOWSKI – (ur. 1990 r. w Olsztynie)
absolwent LO 3 i UWM, uczestnik Olsztyńskiego
Klubu Literackiego, szczęśliwy tata Cezarego.

KRYSZYNA ARCISZEWSKA

NICZEGO CI O SOBIE NIE POWIEM

Niczego ci,
niczego o sobie nie powiem.
Ani jaka byłam,
ani jaka jestem.
Słów ci poskąpię wszelkich
i ciała, i w mowie.
Niczego ci nie zdradzę żadnym moim gestem.

Ani tego co czuję,
ani czego pragnę.
Zamknę się przed tobą w kolapsie przestrzeni.
Zamknę i
klucz wyrzucę.
Nie poznasz mych pragnień.
Zagubię się przed tobą
po bezmiarach ziemi.

Rozptynę się w powietrzu
lecz nie w twym oddechu.
Rozpalę żarem słońca
lecz cię nie ogrzeję.
Niczego się nie dowiesz z mojego uśmiechu.
Niczego ci
nie powiem.
O mnie ci
nie powiem.

JESZCZE....

Jeszcze jedna wiosna. Jeszcze jedno lato –
przetykane słońcem i zapachem kwiatów.
Jeszcze jedna jesień. Zimą śniegu tren.
Jeszcze do przeżycia cały jeden dzień.

Może to już jutro będzie dzień ostatni:
wyproszą ze sceny i zepchną do szatni.
Powiem – do widzenia i zatrzasnę drzwi.
Ale jeszcze żyję. Jeszcze śnią się sny.

Jeszcze jedna chwila, jeszcze jeden koncert.
Jeszcze po zachodzie załśni gwiazd tysiące.
Jeszcze raz o świcie ujrzę słońca blask.
Jeszcze mam swą szansę. Jeszcze jeden raz.

Jeszcze mnie upaja zapach bzu z wieczora.
Jeszcze na uczucia jest najlepsza pora.
Jeszcze czas na szczęście i na życie czas.
Jeszcze czas na miłość. Wiem, że jeszcze czas.

FRANCISZEK „FRANEMEK” HEBAL

BEZ TYTUŁU

Wśród tłumu stałem
Obcym głosem krzyżąc.
Udawałem, że jak strumień
z serca wypływa.

A zrodził się on
Ze skutego ciała
Co potakuje tłumowi
I sztuczne bywa.

A więc tak żyję
Ja – wciąż odklejony
Aby móc przez jedną chwilę
Czuć, że pasuję.

WIERSZ O CZYMŚ

Ostrze – widzę zbliża się do mnie
ja tkwię w bezruchu przykuty
Przy władzy ostrza jestem cicho
pod cieniem ciała słysząc popłoch

Nogi chcą pędzić w nieznane
Lecz nie widzą swojej ślepoty
Język płacze się jak niezdara
Zapominając co ma zrobić

W tle ludzie jak stado patrzą
Sami by zbliżali śmierć do mnie
Lecz czy gdy dla mnie zajdzie słońce
Ludzie odnajdą swój nowy świt?

FRANCISZEK „FRANEMEK” HEBAL – (13 lat) *rano idę do szkoły i bujam w obłokach, po szkole słucham Maty i Dylana, po czym stwierdzam, że chcę być jak oni. Piszę zatem parę częstochowskich rymów i brzdąkam na gitarze. Potem zasypiam. I tak codziennie...*

Zwycięzca Slamu Poetyckiego współorganizowanego przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Olsztynie, który odbył się w lutym 2023 roku.

Dziecięce pokoje to enklawy wielkich – małych spraw. Miejsce, w którym rosnący człowiek gromadzi najważniejsze dla siebie dobra. Gdzie jak na dłoni widać, co lubi i czasem nawet, jaki jest. Wystarczy jedno spojrzenie na kolekcję lalek, klocków lub książek. Ograniczona ścianami przestrzeń nie pozwala masie utkanej przez rzeczy w różnych rozmiarach rozlać się. Daje też często poczucie bezpieczeństwa i pozwala na bycie sobą i u siebie w pełni. Masa zabawek, gadżetów, akcesoriów i ubrań ulega wymianie wraz ze zmianą dziecięcych idoli i zainteresowań, co stanowiło impuls do fotograficznych rozważań dla Zofii Anny Puszcz. Fotografka i twórczyni wizualna urodzona na Warmii, absolwentka Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu na kierunku fotografii oraz Uniwersytetu Gdańskiego na kierunku socjologii, zajrzała z aparatem do kilkudziesięciu dziecięcych pokoi. Fotografowała wybrane przez „lokatorów” i „lokatorki” zabawki. Jej spojrzenie uzupełniają zdjęcia wykonane przez córkę. I choć na początku, jak przyznaje się Zofia Anna Puszcz, wychodziła od bardzo krytycznego założenia o niszczącym konsumpcjonizmie zaszczeplonym przez rodziców, to wnioski z projektu są zgoła inne. Pokoje to azyle i światy wykreowane przez najmłodszych. A wykonane przez artystkę zdjęcia są opowieścią o tym, z czego składa się w pojęciu ich mieszkańców bez troskie dzieciństwo. Zdjęcia powstały jako projekt podczas programu mentorskiego Sputnik Photos pod opieką Agnieszki Rayss.

O autorce: <https://www.zofiapuszcz.com/>



Fot. Zofia Puszcz, Pokój

ZOFIA ANNA PUSZCZ

Pokój



Zdjęcia do programu mentorskiego Sputnik Photos



ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Olsztyńskie rzeźby

Olsztyńskie rzeźby czasami można opisać, wyśpiewać, wynaturzyć i przepoczwaczyć.

Zróbmy to!

BLASZANA RZEŻBA PRZY PAŃSTWOWEJ SZKOLE MUZYCZNEJ W OLSZTYNIE

Kosmiczny palec Najwyższego Istnienia – lub coś, co względnie przypomina palec w rozumieniu ludzkiego języka – z niechybną pewnością nacisnął ostatni klawisz niewidzialnych, a niezmiernych i ponadmiernych organów. Najwyższa i najbardziej ulotna myśl skonstatowała jednocześnie, że wszyscy spodziewaliby się Prapowstania w najniższym z infradźwięków... Ale Najwyższe Istnienie jest też najwyższym poczuciem humoru, więc uznało za zabawne zacząć kreację od najbardziej piskliwego dźwięku.

Dźwięk następnego klawisza rozpalil pędzące światła i rozdzielił od nich ciemność. Kolejny rozwirował mini- i makromaterie. Następny spowodował związki między nimi. I poooooo!!!

Potem to już była prawdziwa zabawa, gdy łańcuch konsekwencji związków materii, niematerii i antymaterii oraz energii, subenergii i antyenergii sam powodował pracę kolejnych klawiszy. „Palec” mógł je tylko – powodowany najwyższym kaprysem – lekko mącić, przerywać, uaktywniać, zwielokrotniać. Fraktal rzeczywistości w pętli nieskończoności pomnożony przez nieokreśloną wielokrotność równoległych wszechświatów wydał mu się jednak nudny. Najwyższe Istnienie dopuściło więc pojawianie się – i oczywiście w tym wypadku znikanie – wyjątków, zwanych precyzyjnie cudami, magią i osobliwościami. To uczyniło całość wizyjną i odkrywczą nawet w rozumieniu wszechwiedzy Najwyższego Istnienia dysponującego wyłącznie urealnionymi wiecznie i nigdy wizjami. Dla mnożącego się wszędzie i ciągle życia (będącego odmianą żyjącego przedtem nieżycia) całość zaczęła funkcjonować w wymiarach, z których jeden można by określić mianem „czasu” – względnego, ale mimo to zdefiniowanego, więc stałego. Kontinuum stało się w końcu tak wyraźne, że nawet najniższe formy istnienia zaczęły je zauważać. Najwyższe organy wybrzmiały wtedy najniższym z dźwięków, co nadało symfonii kakofonii dźwięków znamię pełni...

I wtedy nieskończenie nagle Najwyższe Istnienie w nieuwarunkowanym niczym akcie antykreacji zamknęło wszelki dźwięk.

I stał się początek, i tylko Ono. I zobaczyło, że to było lepsze.

Anna Rau





Fot. Marcin Jermolonek, Władysław Olsztyń

STALOWE ORGANY*

Pną się do góry
sięgają nieba
formy
zamknięte w stalowych organach

Wirtuoz wiatr improwizuje
otwiera piszczalki
przepływające przez nie powietrze
zaczyna brzmieć jak muzyka

Można usłyszeć
fugi Bacha
sonaty Mozarta
fantazje Nowowiejskiego

Koncerty na deszcz wiatr i metal
w przestrzeni miasta

*Stalowe organy, autor Ryszard Wachowski, lata 60. XX w.

Iwona Bolińska-Walendzik

MAŁGORZATA CZAPLARSKA

Seul on va plus vite, ensemble on va plus loin. Samemu idzie się szybciej, razem dociera się dalej

Zaczęło się od rozmowy. W 2019 roku poznałam Maryline, dyrektorkę bretońskiej organizacji pozarządowej pn. „Collectif des festivals”. Wydarzyło się, jak większość, przypadkiem, podczas wizyty w Bretanii przy okazji innego projektu. Siedziałam i słuchałam, a ona z ogromnym zaangażowaniem opowiadała, jak powstał kolektyw i w jaki sposób realizuje swoją misję. A zaczęło się od potrzeby zmiany.

W 2005 roku organizatorzy jednego ze znanych festiwali muzycznych odbywających się w centrum miasta Rennes zostali poproszeni przez ówczesne władze miasta o zmianę lokalizacji. Miejskie śródmieście okazało się swoim rozmiarem nieadekwatne do rosnącego rozmachu imprezy. Zaproponowano tereny peryferyjne, bez dostępu do tych wszystkich udogodnień, które miało do zaoferowania centrum: transport miejski, sale koncertowe, lokale gastronomiczne, toalety publiczne.

Szefowa festiwalu rozpoczęła objazd po innych istniejących plenerowych festiwalach w Bretanii, aby dowiedzieć się, jak radzą sobie z obsługą publiczności, kwestiami organizacyjnymi, logistycznymi czy porządkowymi. Na wymianę doświadczeń zgodziło się wówczas 5 organizatorów. W tym czasie o zrównoważonym rozwoju we Francji mówiono bardzo dużo, ale nie w kontekście sektora kultury. Nie było zatem ani specjalistycznych szkoleń w tym zakresie, ani fachowej literatury. Zrodziła się idea powołania do życia organizacji, która tę lukę wypełni.

Okazało się, że na skonkretyzowanie działań nie trzeba było długo czekać, a innowacyjny charakter przedsięwzięcia i potrzebę istnienia kolektywu doceniły również władze regionalne, i to w sposób dosłowny, gwarantując pomysłodawcom finansowanie planowanych działań. Rozpoczął się wówczas, trwający do dziś, proces opracowywania odpowiednich narzędzi, metod, rozwiązań mających na celu wsparcie organizatorów i producentów festiwali w realizacji wydarzeń w duchu idei zrównoważonego rozwoju. Jak segregować odpady? Jak żywić publiczność? Jak zorganizować transport? Powstała strona internetowa, z zasobów której skorzystać mogą, nieodpłatnie, wszyscy zainteresowani. Do kolektywu sukcesywnie przyłączały się inne podmioty (aktualnie 33 organizatorów festiwali – sygnatariuszy tzw. *karty festiwalu*, dokumentu programowego w formie Agendy 21), powstał program szkoleń, a ekipa kolektywu (aktualnie 6 osób zatrudnionych na stałe) rozpoczęła wizje lokalne poszczególnych festiwali, doradzając organizatorom *in situ*.

Im dłużej słuchałam Maryline, tym bardziej zaczynałam żałować, że jestem na tym spotkaniu sama, a przecież to bardzo ciekawe i ważne rzeczy. Od tamtej pory szukałam okazji, aby o tym wszystkim opowiedzieć szerzej, podzielić się tą wiedzą, w potęgującym poczuciu, że nie mogę tego odpuścić, że problematyka zrównoważonego rozwoju i zielonej transformacji w kulturze nie dotyczy tylko *f r a n c u s k i c h* organizatorów wydarzeń kulturalnych, że w kwestii troski o planetę nie ma granic.

Z pomocą przyszedł program Erasmus+. Szybko okazało się, że stawanie się miejscem kultury przyjaznym naturze leży na sercu nie tylko Centrum Polsko-Francuskiemu. Na zaproszenie do międzynarodowego projektu wymiany dobrych, ekologicznych praktyk bez wahania odpowiedziały również Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie i olsztyńskie Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych. Wspólnie przygotowany projekt pn. #ZielonaInstytucjaKultury otrzymał dofinansowanie ze środków unijnych, a jego realizacja ruszyła w 2022 roku. W planach (częściowo już zrealizowanych) znalazły się wizyty studyjne, działania diagnostyczne w formie zielonego audytu, warsztaty, spotkania, rozmowy, uczenie się i dzielenie zdobytą wiedzą. To początek długiego procesu zmian i skonsolidowanych działań sektora kultury na rzecz ochrony środowiska i zrównoważonego rozwoju.

Może jesteśmy jak powstający w Bretanii w 2005 roku „Collectif des festivals”? Może to pierwszy krok w budowaniu zielonej koalicji samorządowych instytucji kultury na Warmii i Mazurach? Czy wypracowane przez nas rezultaty posłużą innym w planowaniu, wdrażaniu i profesjonalizacji proekologicznych rozwiązań i działań? Szczerze w to wierzę. I mam nadzieję, że wciąż nie jest za późno, chociaż czasu na uratowanie naszej planety od klimatycznej katastrofy coraz mniej.

Efekty projektu: <https://cpf.olsztyn.pl/projekty/erasmus/zielona-instytucja-kultury/> ■

MAŁGORZATA CZAPLARSKA – absolwentka filologii romańskiej UAM w Poznaniu oraz Wydziału Lingwistyki Uniwersytetu René Descartes w Paryżu. Stypendystka rządu francuskiego w École Nationale d'Administration (ENA) w Strasburgu. Absolwentka podyplomowych studiów menedżerów kultury SGH w Warszawie. Inicjatorka i koordynatorka projektów międzynarodowych. Od 2018 roku kieruje Centrum Polsko-Francuskim Côtes d'Armor-Warmia i Mazury w Olsztynie.



Współfinansowane przez
Unię Europejską



MAGDALENA WAŁKUSKA

Śmierć „Odrodzenia” – archiwum Muzeum Warmii i Mazur

Miasto jest żywym organizmem. Gdybyśmy podjęli się trudu odnalezienia anatomicznych analogii, to główne arterie komunikacyjne z przylegającymi do nich ulicami są jak nieustannie przetwarzający krew układ tętnic i żył, dzielnice oraz kwartały stanowią tkanki, a poszczególne budynki pojedyncze komórki. Żywotność tych ostatnich jest najkrótsza. Bezlitosne, naturalne procesy sprawiają, że stare ginie, by ustąpić miejsca nowemu. Niektóre, co bardziej użyteczne, tkwią w posadach, inne mają dziejowego pecha. Jedną z uśmierconych komórek, częścią miejskiej tkanki było sąsiadujące z ratuszem kino. Zwało się dumnie „Capitolem”, a projekt kreślono w pracowni Ericha Mendelsohna. Widzowie oglądali ruchome obrazy z parteru i dwóch balkonów, a do dyspozycji mieli aż siedemset pięćdziesiąt foteli! Gdy zainaugurowano działalność przybytku X muzy w 1929 roku, olsztynianie mieli jeszcze okazję nacieszyć się niemymi produkcjami z przygotowanym przez orkiestrę podkładem muzycznym. Nowe jednak znów wyparło stare, film dźwiękowy zrewolucjonizował i podbił kinematografię.

Gmach przeżył wojenną pożogę, nie przetrwała jednak nazwa, kapitulując przed „Odrodzeniem”. Trwającą dwa lata odbudowę ukończono w 1949 roku. Towarzyszył jej pośpiech, wszak przybytek miał być gotowy na „Miesiąc Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej”. Zapomniano o kanałach wentylacyjnych, wstawiono odwrotnie drzwi, lecz premiera rosyjskiego filmu „Harry Smith odkrywa Amerykę” odbyła się! Produkcja stanowiła ówczesny, typowy wytwór propagandowy, choć z zastosowaniem po raz pierwszy w Polsce dubbingiem. Zabieg nie usatysfakcjonował wszystkich, bowiem redaktor naczelny „Filmu” Eugeniusz Żytomirski pisał: „Polszczyzna daleka jest od czystości, a sam dubbing wykazuje poważne usterki techniczne”. Mimo iż początkowa oferta była uboga, to wizyta w kinie stanowiła popularny sposób na spędzenie wolnego czasu. Gdy z czasem miejsca na widowni zaczęły świecić pustkami, zakłady zainicjowały proceder wręczania pracownikom biletów zakupionych za pieniądze z funduszu socjalnego. Prawdziwe przeboje grano krótko, a ten, kto nie zdążył kupić biletu, musiał zaopatrzyć się u „konika”, wykupującego dużą pulę wejściówek, aby sprzedawać je spóźnialskim z wielokrotnym zyskiem.

Kino działało nadal, choć wymagało ciągłych remontów. Koniecznością stało się zamknięcie balkonów ze względów bezpieczeństwa. Konstrukcję

osłabioną zniszczeniami wojennymi stale nadwyręzał ruch uliczny pobliskiej arterii. Ktoś zauważył rysę pęknięcia na stropie widowni. Wyświetlono jeszcze kilka filmów w lipcu, po czym zamknięto kino do odwołania. Architekt miejski nie chciał kolejnych napraw, plany miał zgoła inne, a obejmowały one poszerzenie ówczesnej ulicy Zwycięstwa. Nawet rozbiórka, rozpoczęta w lutym 1967 roku, trwała opornie, przedłużając się do wakacji. Porozbiórkowy materiał nie zmarnował się, cegłę odzyskano i odstąpiono na budowę ośrodka wypoczynkowego dla pracowników więziennictwa. Jedna komórka wchłonęła drugą... ■

Fot. Zbigniew Grabowski, rok 1967.

Dwa elementy wyrwane z miejskiej tkanki: trolejbus przed kinem „Odrodzenie”.



Z dr. PAWŁEM NAPIERAŁĄ rozmawia ARKADIUSZ ŁUBA

Niekonwencjonalna wystawa

Obrazy Jacka Malczewskiego ze zbiorów Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki w Muzeum Narodowym w Poznaniu

Muzeum Narodowe w Poznaniu (MNP) poszczycić się może największymi zbiorami obrazów Jacka Malczewskiego w całej Polsce. Z końcem ubiegłego roku doszły 34 prace artysty z Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki (LNGS), niejako uratowanych przed rosyjską wojną w Ukrainie. Z rozmowy z kuratorem dr. Pawłem Napierałą dowiemy się więcej o koncepcji wystawy i wielkim malarzu.

Arkadiusz Łuba: Zanim porozmawiamy o znaczeniu tych obrazów, pomówmy o ich pochodzeniu. Wszystkie 34 trafiły do MNP z LNGS, to jest jasne. Ale jak znalazły się tam, w Ukrainie? Czy ma to związek z tym, że Lwów był w przeszłości miastem „polskim”?

Dr Paweł Napierała: To że Lwów był kiedyś miastem polskim jest oczywiste. Poza granicami Polski lwowska kolekcja malarstwa polskiego jest bardzo ważna i ma ogromną wartość. Pokazuje różne tendencje stylowe. Kolekcja ta skupia się na najwybitniejszych artystach, takich jak [Jan] Matejko, [Jacek] Malczewski, [Artur] Grottger, [Józef] Chełmoński, ale także innych rzadko spotykanych i mało znanych. Jeżeli chodzi o Malczewskiego, jego związki ze Lwowem były bardzo silne. Tam w 1903 roku odbyła się jego pierwsza monograficzna wystawa. Tam miał wielu przyjaciół, mecenasów, którym ofiarowywał lub sprzedawał swoje dzieła. Jego obrazy trafiały do tamtejszej kolekcji w różny sposób. Najczęściej poprzez zakupy samej galerii lub jako dary właścicieli obrazów Malczewskiego.

Jak stanowi konwencja haska, niszczenie dóbr kultury jest zbrodnią wojenną; ponieważ każda sztuka narodowa wnosi wkład do światowego dziedzictwa kulturowego. Z powodu rosyjskiej wojny w Ukrainie dzieła te musiały zostać ewakuowane. Trafiły do MNP. Jak to było możliwe?

To prawda. Ponad rok temu nasze Muzeum i Lwowska Galeria Narodowa zawarły memorandum. Mówiło ono o wzajemnej współpracy i pomocy. Ponieważ jesteśmy partnerami, te obrazy trafiły do nas.

Wiele dzieł sztuki zaginęło podczas II wojny światowej. Minister kultury Piotr Gliński oburzył się niedawno na Twitterze, że obraz Wassilego Kandinskiego skradziony w 1984 roku z Muzeum Narodowego w Warszawie został sprzedany przez berliński dom aukcyjny Grisebach. Tak to często jest ze sztuką, zwłaszcza w czasach kryzysu. Muszę więc zapytać: jak bezpieczne są lwowskie obrazy Malczewskiego tutaj, w Poznaniu? I co się z nimi stanie po zakończeniu wystawy?

Nie do końca rozumiem, co Pan sugeruje, ale mogę się domyślać. Tyle że rozmawiamy tutaj o dwóch zupełnie różnych sytuacjach. Jak sam pan powiedział, obraz Kandinskiego został skradziony. Natomiast obrazów Jacka Malczewskiego nikt nie ukradł. Obrazy trafiły do Poznania na rok. Jak długo tutaj pozostaną, zależy od tego, jak długo będzie trwała wojna. Najważniejsze przy tym jest ich bezpieczeństwo. Potem zostaną odesłane tam, gdzie jest ich dom, czyli do Lwowa. Aktualnie odwiedzający mogą oglądać te zbiory do 1 października 2023 r.

Artysta pozostawił po sobie łącznie ponad 2000 obrazów. MNP posiada stosunkowo dużą kolekcję malarstwa Malczewskiego. Można je podzielić na różne cykle tematyczne, np. syberyjski, inspirowane polską poezją romantyczną, pejzaże, baśniowe, nastrojowe i fantastyczne czy tzw. „Polonia”. Można je też podzielić ze względu na kolorystykę: monochromatyczne lub nasycone kolorami, malowane tylko zimnymi barwami lub kolorystycznie dysharmonijne. Co przedstawia kolekcja poznańska?

Tak, posiadamy jedną z największych i najważniejszych w Polsce kolekcji obrazów Jacka Malczewskiego. W Muzeum Narodowym w Poznaniu oraz w naszym oddziale w Rogalinie eksponujemy najbardziej znane jego prace — *Melancholia*, *Błędne koło*, autoportrety, pejzaże. W naszej galerii możemy spotkać obrazy z pierwszego etapu jego twórczości, głównie te dotyczące zestania na Syberię i te późniejsze — symboliczne.

Najprościej rzecz ujmując – Malczewski ze Lwowa na jakiś czas wzbogaci poznańską kolekcję. Co przedstawiają przywiezione ze Lwowa obrazy Malczewskiego?

Wystawa zlokalizowana jest tuż obok stałej ekspozycji obrazów Malczewskiego. Teraz każdy widz może zobaczyć w jednym miejscu około 80 obrazów mistrza. To bardzo dużo. Wśród przywiezionych ze Lwowa prac znajdują się portrety, autoportrety, pejzaże, sceny o tematyce religijnej i mitologicznej. Pośród nich są obrazy nawiązujące do utworów [Juliusza] Słowackiego jak *Anielli* albo tragedia *Lilla Weneda*. Jest to bardzo zróżnicowany zbiór dzieł wykonanych, ale także szkiców.

Tytuł poznańskiej wystawy *Idę w świat i trwam* nawiązuje do wiersza Reinera Marii Rilkego *Ostatni* w polskim tłumaczeniu. Ten wers podany dosłownie brzmi: „Jestem więc w świecie i coraz głębiej wchodzę w ten świat” (w oryg.: „Da steh ich nun in der Welt und geh in die Welt immer tiefer hinein”). Tytuł wystawy można interpretować w ten sposób, że dzieła, sztuka wyszły w świat i dzięki temu najprawdopodobniej przetrwają wojnę. Jak mówi tytuł wiersza, podmiot liryczny jest „ostatni” (na ziemi/wśród ludzi/wśród swoich). Jest niby związany z dziedzictwem, a jakby bez niego (albo na odwrót). Niemiecki oryginał wiersza czyta się jako lament, skargę Ostatniego. Wszystko, co „wychodzi w świat” (pominę fakt, że rzeczywiście jest obraz Malczewskiego pt. *Wychście w świat* z 1915 r.) z rąk lirycznego Ja, „idzie na wiatr” (oryg.: „was ich fortstelle, / hinein in die Welt, / fällt”), jest niestabilne, przemijające, chwiejne, „jak na wodzie / ślad” (w oryg.: „wie auf eine Welle / gestellt”), kruche. To też pasuje do sytuacji, w jakiej znalazła się ukraińska sztuka... Obie egzegezy dobrze wpisują się w kontekst, w jakim prezentowana jest wystawa. Sztuka nie jest więc bezpieczna na wojnie – podobnie jak ludzie – jest niszczone przez jej barbarzyństwo. Co zatem Pan chce powiedzieć, wyrazić wystawą? Przed czym ostrzec?



Fot. autoportret z Meduzą (1895, olej na płótnie, 43 x 63 cm), Arkadiusz Łuba

Tak, ten wiersz odnosi się do ruchu i trwania. Do tego, co zmienne, co powoduje, że ta kolekcja opuszcza swój „dom”. Te obrazy doświadczają tego, co postaci na obrazach Jacka Malczewskiego – zesłania, drogi, przemiany, śmierci, zmartwychwstania... Ta wystawa ma być lekkim wyłanianiem z konwencji przedstawiania obrazów Malczewskiego.

Okoliczności wystawy są jasne, a mianowicie rosyjska agresja na Ukrainę, a sposób prezentacji ma nawiązywać do ewakuacji. Dzieła sztuki i różne artefakty – wszystkie są nośnikami (i bez tego kontekstu wojny) pamięci, wiadomości, informacji o jakiejś osobie i o jakimś czasie.

Dokładnie. Dlaczego te dzieła lub sztuka w ogóle muszą być chronione? Czy chodzi o to, o czym mówi konwencja haska?

Pytanie o to, co ratować, a czego nie ratować, jest niesłychane, bo w rzeczywistości nawet najmniejszy element zbioru zasługuje na ocalenie. Oczywiście ofiarami wojny są ludzie i tego nikt nie kwestionuje, ale wojna ma też inne ofiary i są nimi także sztuka i dziedzictwo. Ratujemy więc nasze wspólne dziedzictwo.

Porozmawiajmy teraz o Malczewskim trochę ogólniej, poza obecną wystawą. Urodzony w 1854 roku artysta był najważniejszym przedstawicielem symbolizmu w sztuce polskiej. Ale też wielkim realistą. Jak to połączyć?

Nie widzę problemu. W pierwszej fazie swojej twórczości, czyli do 1895 roku, malował bardziej realistycznie. Mam tutaj na myśli jego obrazy o tematyce zesłańców na Sybir. Później malował już obrazy głównie o tematyce symbolicznej. Zmienił także sposób malowania. Obrazy nie są już utrzymane w ciemnej kolorystyce. Stają się bardziej kolorowe, jaśniejsze. Tematyka dotycząca takich zagadnień jak ojczyzna, sztuka i inne pozostaje w zasadzie bez zmian. Zmienia się sposób przedstawiania wybranego tematu.

Malczewski łączył sprawy narodowe, którym dawał wyraz w sztuce, z pytaniami o powinność artysty wobec społeczeństwa, procesu twórczego i roli sztuki, a także śmierci. Czerpał z kulturowej spuścizny poezji mesjanistycznej Juliusza Słowackiego. Był rozdarty między uwikłaniem w swój patriotyczny obowiązek a równoczesnym dążeniem do wolności twórczej. Jak udało mu się wydostać z tej pułapki? Czy w ogóle mu się to udało?

To, o co pan pyta, faktycznie wyraźnie charakteryzuje Malczewskiego. Myślę jednak, że wiedział, co robi. W jego sztuce przeplata się to, co odnosi się do samej sztuki i artysty z tym, co dotyczy patriotyzmu. Sztuka była tym, co miało pomóc w odrodzeniu Polski. Artysta, a więc także Malczewski, musiał się w ten proces włączyć. Każdy temat, który maluje, odnosi się do patriotyzmu, ale też

do niego samego jako malarza i jako człowieka. Mam tu na myśli takie obrazy jak *Eloe*, *Pytia*, *Zatruta studnia*, nawet pejzaż – bo jest to polski pejzaż. To są symbole. One odnoszą się do myślenia o powrocie Polski na mapę Europy.

Jak czytałem, Malczewski namalował najwięcej autoportretów w sztuce polskiej. Czy był egocentrykiem? Albo w jakim celu wykorzystał ten proces umieszczania siebie na obrazach?

Tak, to prawda, Malczewski jest tym malarzem, który namalował chyba najwięcej autoportretów w polskiej sztuce. Ale nie sądzę, aby był egocentrykiem. Na przykład kiedy Malczewski maluje siebie jako Chrystusa, odczytuję to jako połączenie figury artysty (nie samego Malczewskiego) i mesjasza. On używa swojego wizerunku jako znaku – symbolu. Ja widzę to jako symbol. ■

Fot. Arkadiusz Łuba – spojrzenie na wystawę „Idę w świat i trwam”, którą wykoncypowano jako „gotową do ewakuacji”



KATARZYNA GUZEWICZ

„Less” zamiast „zero”

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie nawiązała współpracę z kilkoma organizacjami w ramach projektu #zielonainstytucjakultury. Celem ma być wprowadzenie praktyk, które, mówiąc w dużym uproszczeniu, mają ratować planetę. Planetę, która płonie, a niestety większość ludzi niewiele sobie z tego robi. Tak zwana ekologia zamiast sposobem na życie stała się wytrychem, wyduszką. Słowem, którym kapitalizm rzuca na prawo i lewo po to, by zrealizować cel kompletnie antyekologiczny: sprzedać więcej (najczęściej niepotrzebnych nam rzeczy). Smutny przykład to napis „oddaj mnie do recyklingu” na butelkach napojów największego śmieciarza na świecie. Sumienie uspokojone, złe duchy uciszone, można konsumować dalej. Greenwashing, czyli działania pozorowane firm, które szkodzą środowisku i zwierzętom pod płaszczykiem dbania, to plaga. Przykład: podawanie danych, których konsument nie jest w stanie zweryfikować (np.: 98% naturalnych składników; czyli jakich??), zielone symbole na plastikowym opakowaniu płynu do mycia naczyń testowanego na zwierzętach.

Przynaję, nie mam natury misjonarki. Jeśli widzę opór i tumiwizizm w sprawach segregacji śmieci, ich produkowania, odpuszczam. Jednak w pracy usłyszałam coś, o czym często zapominam: „Tu nie chodzi o innych ludzi, tylko o przyrodę i świat”. Takie słowa są pocieszające. Przypominam sobie wtedy, że osób, którym nie jest obojętny los planety, jest więcej. Chciałabym pracować w miejscu, które dla innych instytucji jest wzorem. Które odważnie mówi STOP produkcji śmieci (dzbanki filtrujące do kranówki zamiast przeklętych plastikowych butelek z wodą!),

gadżetomanii (długopisy, smycze, zakładki i przypinki najczęściej i tak lądują w koszu na śmieci po konferencjach). W miejscu, które zawsze w poczęstunku oferuje opcję wegańską (i nie, nie chodzi o mnie, po prostu roślinne jedzenie jest etyczne i zostawia nieporównywalnie mniejszy ślad węglowy). Albo nasz ogród. Widzę tam wielki potencjał. Zasiałam i posadziłam trochę kwiatów (co spotkało się z bardzo pozytywnym odbiorem!). Może jeszcze uda się nam postawić owadzi hotel? A może nawet gdzieś dałoby się ukryć kompostownik na odpady bio? W ten sposób produkowalibyśmy kompost, czyli ogrodnicze złoto. Rozmarzyłam się trochę, wiem. Ale może da się to jednak zrobić? Te zmiany nic nas nie kosztują. Za to oszczędzimy w ten sposób pieniądze i będziemy dobrym przykładem dla innych instytucji kultury.

A nawiązując jeszcze do tytułu. W sprawach ekologii widzę szkodliwy trend: zerojedynkowość. To według mnie najlepszy sposób na zniechęcenie przeciętnych ludzi do dbania o świat. Dla mnie to jest najważniejsza rzecz w codziennym funkcjonowaniu (obok szacunku do zwierząt). Ale próbuję zaakceptować, że nie każdy żyje w ten sposób. Tymczasem działania wszystkich ludzi są ważne. I lepiej, żeby 100 osób raz na jakiś czas zjadło wegański posiłek (naprawdę nie umiera się od tego!) i od czasu do czasu zrezygnowało z napoju w plastikowej butelce, niż kilkoro „ekowariatów” próbowało robić prawie wszystko. Dlatego lepiej „zero waste” (zero odpadków) zamienić na „less waste” (mniej marnowania). Hej! Mnie też raz na rok, dwa zdarza się lecieć samolotem. Nie musimy być idealni, ale niech ekologia cały czas będzie z tytuł głowy. ■

WIKTOR MAREK LEYK

Laudacja – XXXV edycja Nagrody im. bp. Ignacego Krasickiego

Rozpocznę od cytatu z patrona:

Być księdzem, praca, i biskup, i sądy.

Być młodzianem, czcza pora, złe chwile, złe rządy.

Być żonatym, staranie o dzieciach i żonie.

Być wdowcem, żal lat przeszłych, tęskność w każdej stronie.

Być dworakiem, niewola w powabnej postaci.

Być żołnierzem, zysk trudny i życie się traci.

Być w domu gospodarzem, i tam złe znajdziemy.

Czymże być? – wszędzie przykrość! Żyjemy jak możemy.

Przypadło mi dzisiaj w udziale wygłoszenie laudacji, trzech laudacji. Jedni, zaciągając, mówią: „Boh trojcu lubić”, inni, że „w Trójcy jedyni” – będzie więc jedna, ale o trojgu wspaniałych, można powiedzieć, artystach słowa, mistrzów sztuki drukarskiej i strażnikach księgi. Wydawcy w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Elżbieta Skóra, mieszkanka Olsztyna, zaczynała swą pracę w 1972 roku w OZGrafie, ale prawdziwą poligrafią zajęła się w wydawnictwie „Pojezierze”. Władysław Andrzej Sacha wspomina, że wraz z Witoldem Saganem uczyli ją fachu, ona sama podkreśla rolę Bożeny Jankowskiej, której zawdzięcza pracę z artystami. Po 1989 roku w redakcji „Zodiak” i Wydawnictwie Andrzeja Stachurskiego „Mazury”, aby w końcu z kredytem dla bezrobotnych założyć trzydzieści lat temu swój „ElSet”. Pierwszą, „niewielką książeczkę”, jak sama ją nazywa, wydała w 1994 roku – była to publikacja „Jaroły. Wieś, kapliczka, kościół” Janusza Jasińskiego i ks. Bronisława Magdziarza. Z pomocą boską poszło, i to jak. Dotychczas ponad 400 tytułów: literatura piękna, dla dzieci, młodzieży, poezja, opracowania naukowe i bardziej popularne, publikacje okazjonalne i jubileuszowe, albumy, poradniki, podręczniki, czasopisma, nawet mapy. Za najważniejsze swoje dzieła uważa „Grunwald 1410. Opisanie bitwy według Jana Długosza”, reprint „Nowo wydane kancjonału pruskiego” na 500-lecie Reformacji oraz „Setnik bajek Ignacego Krasickiego”. To był, jak napisała, wielki wysiłek, ale i satysfakcja. Wśród setek znaczących pozycji znalazłem literaturę drogi – „Alfons Kufakowski. Stamtąd i stąd” (2009), „Od czasu do czasu” Ewy Floryan (2010), „Spoglądając wstecz” Jerzego Chojnowskiego (2010) czy „A życie toczy się dalej” Edwarda Cyfusa (2006). Są też „Bajkowe dziwy” Józefa Jacka Rojka (2008), „Nawrócenie wiedźmy”

Joanny Żamejć (2015) i „Bajki o zwierzętach” Ignacego Krasickiego (2021), „Maja i jednorożec” Jerzego Szczudlika (2019), „Cień ćmy” Magdaleny Bartnik (2008), „Flamingi” Bożeny Kraczkowskiej (2008), „Ptaki Olsztyna” Jacka Nowakowskiego, Beaty Dalisz i Krzysztofa Lewandowskiego (2006). Jeśli ptaki, to i pióra, więc publikacja „Pióro i pamięć. 50-lecie Oddziału ZLP” Józefa Jacka Rojka (2005). Można by tak wymieniać i wymieniać, więc zacytuję tylko jeszcze laureatkę: „Poddaję się, panie Wiktorze. To przeszło moje wszelkie wyobrażenia – tyle tego”. Za minione trzydzieści lat pracy edytorskiej spadł na panią Elżbietę deszcz nagród – wszystkie wymienione w zaproszeniu.

Waldemar Mierzwa, jak sam pisze, historyk, regionalista, publicysta, autor i wydawca mazurski, działacz społeczny i proekologiczny. Urodzony w 1958 roku w Lublinie studiował historię na Uniwersytecie Warszawskim. W 1983 roku przyjechał na Mazury. Zatrudnił się w Muzeum Warmii i Mazur, w którym gościł jako kierownik Muzeum Bitwy pod Grunwaldem. Po ośmiu latach wraz ze swoim ówczesnym partnerem biznesowym założył spółkę księgarską „Retman” z punktami sprzedaży w Olsztynie, Olsztynku, Morągu, Lubawie i Dąbrownie. W międzyczasie trzy lata wydawał pismo „Jęk Dąbrowna”, co skończyło się dla niego wyborem na wójta w 1998 roku. Po tym politycznym epizodzie wrócił do pracy wydawniczej, aby, jak mówił, „zdażyć spłacić dług Mazurom, które go przygarnęły po trudnym dla niego czasie, początku lat osiemdziesiątych”. No i spłaca, i płacze do tej pory, prowadząc wraz z żoną Małgosią od 2002 roku oficynę wydawniczą „Retman”. Dotychczas ukazało się ponad 90 tytułów poświęconych w szczególności dziejom, kulturze i mieszkańcom naszego regionu. Wszystkie na najwyższym wydawniczym poziomie. Najbardziej chlubi się „Moją biblioteką Mazurską”, gdzie publikował Maksa Toeppena, Kurta Obitza, Emilię Sukertową-Biedrawinę, Hansa Helmuta Kirsta, Erwina Kruka, profesorów Jasińskich – ojca i syna – czy naszych wcześniejszych laureatów – prof. Janusza Matłka i prof. Andrzeja Saksona. Szczególne perełki znajdujemy w serii „Miniatury mazurskie”. Te niewielkie objętościowo książeczki przywróciły czytelnikom wcześniejsze publikacje poświęcone kulturze mazurskiej – ich treść i forma to majstersztyk edytorski i estetyczny. Pierwszym dzieckiem Oficyny były „Dzieje miasta Dąbrowna w Prusach Wschodnich” Helmuta Meyera wydane z wdzięczności do miejscowości, która go przygarnęła. Gdy Waldemar Mierzwa zaczął sam pisać i siebie wydawać (dotychczas

15 książek), przywrócił Dąbrównu utraconą po wojnie rangę miejską zbiorem wspa-
niałych opowiadań zatytułowanych „Miasteczko”. W kaszubskim renomowanym
piśmie „Pomerania” opublikował 50 szkiców „Zrozumieć Mazury”. Kilka lat temu
wydał: „Zanik ludu mazurskiego” autorstwa Janusza Małka. Kasandryczny tytuł
Mazurów mocno zirytował, więc Waldemar szybko zorganizował akcję utworzenia
„Galerii mazurskiego portretu”, z wystawą i publikacją objeżdża całe województwo
– zaświadczać, że są jeszcze Mazurzy starzy i młodzi, a nawet małe dzieci.

Było o Mazurach, czas na Warmię, dokąd po wojnie z Warszawy przyjechali rodzice
Tomasza Śrutkowskiego. On sam urodził się w Olsztynie w 1949 roku. Z wykształ-
cenia pedagog i dziennikarz. Pierwsze teksty publikował w „Głosie Olsztyńskim”,
a potem w „Gazecie Olsztyńskiej”. Po wydarzeniach czerwcowych w 1976 roku za
liczbę osób manifestujących na stadionie przeciwko „warchołom” o jedno zero za
mało usunięty z pracy. Po roku Tomasz wrócił do redakcji. Niedawno znalazłem na-
wet jego wywiad ze mną jako prezesem Towarzystwa Przyjaciół Szczytna z 1978
roku. Tomasz jeszcze raz utracił pracę w gazecie, ale potem, jakby w nagrodę, był jej
naczelnym redaktorem (1990-1996). W tamtym czasie zdobył też rozgłos i nagrody
za świetne recenzje filmowe, ale jego talent ujawnił się w realizacji filmów dokumen-
talnych, takich jak:

– „Linia-kształt-mysł” (1984) o artyście malarzu Hieronimie Skurpskim, z jego
udziałem.

– „Tropem rodzinnych wezwań” (1985) o pisarzu Henryku Sysce, z jego udziałem.

– „Świat Barbary Hulanickiej” (1986) o twórczyni tkanin, z jej udziałem.

Jednak dzisiejszą nagrodę otrzymuje Tomasz Śrutkowski za Wydawnictwo Edytor
„Wers”. Zaczęło się od pisma – magazynu „Wers”. Pierwszy numer ukazał się
w 1989 roku. W słowie wstępnym Śrutkowski pisał: „Naszą ambicją jest redagować
magazyn, którego autorów nie interesują problemy ekonomiczne, rolnicze, spra-
wy budownictwa mieszkaniowego i przemysłu ani też sport wyczynowy. Ale poza
tym wszystko inne”. Pierwszy numer dotyczył Prus, następne miały być o Wilnie
i Lwowie, ale na jednym numerze się skończyło, może dlatego, że zawierał on też
dział per-wers z rysunkami erotycznymi Hieronima Skurpskiego i zdjęciami nie do
końca ubranych panienek. W stopce redakcyjnej napisano: redakcja techniczna
Elżbieta Skóra.

Wydawnictwo Edytor „Wers” powstało w 2001 roku i dotąd ukazało się 115 ksią-
żek, wśród autorów: M. Zientara-Malewska, E. Kruk, K. Daukszewicz, J. Sikorski,
J. Chłosta, S. Połom, S. Piechocki, T. Matulewicz, S. Achremczyk. Pierwszą wyda-
na pozycją był „Kalendarz Olsztyński” na rok 2001, choć wcześniejsze dwa roczniki
zredagował i wydał wspólnie z Elżbietą Skórą. Było to nawiązanie do tradycji ka-
lendarzy od redagowanego przez Krzysztofa Celestyna Mrongowiusza „Kalendarza
Prusko-Polskiego”, kalendarzy Marcina Giersza aż po kalendarze redagowane przed
II wojną światową i po niej przez Emilię Sukertową-Biedrawinę. Łącznie ukazało się
dwadzieścia roczników, ostatni w 2018 roku. Spośród wszystkich swoich książek ka-
lendarze uważa za najważniejsze. Pomieszczono tam teksty ponad 130 autorów.

Co łączy troje dzisiejszych laureatów?

Pewne związki Tomasza z Elżbietą już ujawniłem, Elżbietę z Waldemarem połączyły
książki, jak się dawniej mówiło, kucharskie. ElSet wydał cztery, Retman dwie, Wers
żadnej, ale w „Zasmakuj w Warmii” Tomasz pojawia się jako jeden z bohaterów. Cała
trójka otrzymała od Samorządu Województwa Odznakę Honorową za Zasługi dla
Warmii i Mazur. Ale łączy ich przede wszystkim podejmowanie tematyki regionalnej,
znakomity poziom edytorski i sztuki drukarskiej. To swoiste nawiązanie do tradycji
wydawnictw polskich w Prusach w czasach reformacji. Jan Seklucjan w Królewcu
i Jan Malecki w Elku drukowali jako pierwsi w połowie XVI wieku w języku polskim
„Katechizm” Marcina Lutra. To dorobek powojenny Wydawnictwa „Pojezierze”,
w którym Elżbieta i Tomasz pracowali. Pewien poeta napisał, że „Marzenia jak ptaki
szybują po niebie, jak nie pada, a jak pada, to nie szybują”. Dziś nie pada, więc
Elżbieta marzy, żeby wydać „Atlas historyczny kartografii”, Tomasz Śrutkowski myśli
o wydaniu „Almanachu olsztyńskiego”, a Waldemar Mierzwa planuje nowe wydanie
„Dzieci Jeronimów” w kongenialnym tłumaczeniu Ptaszyńskiego i Ostojkiego.
A nam się marzy, że Wam się jeszcze trafi ponowne wydanie „Monachomachii” bez
cenzury. ■

NAGRODA IM. BP. IGNACEGO KRASICKIEGO przyznawana od 1989 r. za znaczące dzieło lub
całokształt działań twórczych i artystycznych osobom związanym z Warmią i Mazurami
w dziedzinach: literatura, plastyka, muzyka, dziennikarstwo, fotografia, teatr, architek-
tura, ochrona dóbr kultury, muzealnictwo, edytorstwo, szeroko pojęte nauki humanistyczne.

MAGDALENA MALINOWSKA

Leśne przyjemności

Ponoć Fryda miała gadającą srokę. Gadające papugi to i owszem, ale sroki? – myślę sobie. Sprawdzam temat i okazuje się, że sroki to jedne z inteligentniejszych ptaków i dość szybko uczą się ludzkiej mowy. No dobrze, a więc Fryda mogła mieć gadającą srokę. Zaczynam w to wierzyć i z ciekawością szukam informacji o tej intrygującej relacji.

Fryda to skrót od Fryderyki. Imię pochodzi z niemieckiego i oznacza kobietę, która potrafi zagwarantować dobrą opiekę, a jeśli to konieczne także obronę. To chyba nie przypadek więc, że Fryda miała gadającą srokę. Drugi powód jest jeszcze bardziej oczywisty. Fryda mieszkała w lesie, a w takich warunkach o srokę nietrudno. W latach 60., gdy wyjeżdżała do NRD, w Smolanku stały zaledwie trzy domy. Drzewa coraz bardziej pochłaniały osadę. Możliwe, że wtedy było tu nawet więcej srok niż ludzi, a posiadanie gadającego ptaka należało do swego rodzaju niecodziennych, choć adekwatnych przyjemności. Może pozwalało też walczyć z samotnością? – zastanawiam się. Po wojnie we wsi mieszkaly prawie same kobiety i dzieci. Mężczyźni zginęli na froncie albo przepadli nie wiadomo gdzie.

Podobno Fryda przywoziła do Staszkowa mleko, masło, śmietanę, jabłka. Jedni mówią, że miała wóz o żelaznych kołach – tylko taki radził sobie z brukiem w okolicy Starych Jabłonek. Inni, że przyjeżdżała na rowerze do Ostrowina i w tutejszym sklepie robiła zakupy na cały miesiąc. Kolejni pamiętają tylko gadającą srokę.

Zastanawiam się, w jaki sposób Fryda nauczyła srokę mówić. Tego nie wspomina już nikt. Wyobrażam sobie, jak pewnej srogię zimy Fryda stawia przy płocie garnek z białym serem, by podkarmić żyjące w tej okolicy krukowate. Jedna sroka przylatuje każdego dnia. Nie dość, że wyżera więcej niż inne ptaki, to jeszcze dziobem głośno wali w okno Frydy. A to Zuchwalec – myśli kobieta. Wygląda na podwórko i krzyczy: – A kysz, diable! W tej samej chwili doznaje szoku, bo ptak odwzajemnia się spokojnym miarowym gdakaniem „kyszdiab, kyszdiab, kyszdiab”. Od tej wymiany słów zaczyna się przyjaźń Frydy i Sroki, wtedy jeszcze ledwo co gadającej. Codzienne

lekcje mowy stają się największą przyjemnością kobiety. Ptak jest pojętny i uczy się całkiem szybko. Każdego dnia jego zasób słów się powiększa. Fryda zabiera Srokę ze sobą, gdy rusza wozem do Starych Jabłonek lub jedzie na rowerze do Ostrowina. Tam chwali się postępami swojej podopiecznej w nauce, wywołując uśmiech na twarzach dorosłych i dzieci. Do Jugendfelde wraca radosna i pełna emocji.

Czy tak rzeczywiście było? Tego nie dowiem się już nigdy.

W 1910 roku w Jugendfelde mieszkało 151 osób. Sto pięćdziesiąt jeden. Gdy Fryda wyjeżdżała do DDR w latach 60., była jedną z ostatnich. Dziś w Smolanku nie mieszka już nikt. Pola zarosły, domostwa obróciły się w ruinę, jabłonki zdziczały. Wieś zaginęła.

Współczesny Smolanek. Kiedy tu wchodzisz, masz wrażenie, że łąka moment drzewa ożyją, że spod ziemi za chwilę wyrosną uśpieni przez złą królową ludzie. Jak w filmie. Panuje tu specyficzny, nienaturalny bezruch. Jakby nacisnąć stopklatkę. Wydaje się, że jak dasz „play”, to wieś ożyje i odżyje. Domy powstaną z ruin, przedziewałe naczynia nabiorą oryginalnych kształtów, ludzie będą krzątać się przy obejściach, a gadająca sroka Frydy powita cię głośnym „Zapraszaaamy”.

Ale Jugendfelde już nie ma. Tylko sroki od czasu do czasu przesywają leśną ciszę Smolanka. Może przy odrobinie szczęścia przemówią i do ciebie, wspominając tych, którzy odeszli. ■

MAGDALENA MALINOWSKA – współautorka publikacji „Gościniec Niborski” (wyd. ElSet, 2019), autorka przewodnika „Mazury. Atlas Turystyczny” (wyd. SBM, 2021) oraz książki „Warmia i Mazury Słow” (wyd. SBM, 2022). Zakochana w Warmii i Mazurach przewodniczką turystyczną. Wielka miłośniczka przyrody i mikrohistorii – historii życia codziennego i obyczajowości małych społeczności. Wielbicielka wycieczek rowerowych i pieszych wędrówek.

MARTA PÓŁTORACZYK Mazurskie DNA

Fundacja Wsparcia Nauki i Biznesu, Mazurski Uniwersytet Ludowy w Ełku

Fot. z pleneru płyty „My Mazurzy”

Jak ożywić tekst opisujący rzeczywistość, której już nie ma? Czy ten tekst jest martwy sam w sobie, czy martwy jest duch, który mu towarzyszył? Czy współcześni mogą z całą intensywnością poczuć to, co czuli ich przodkowie w XX, XIX lub XVIII wieku? Najpierw była wizja, pytania przyszły z czasem. I dobrze, bo dzięki nim łatwiej było wyrzeźbić z naszej entuzjastycznej chęci utrwalenia na płycie części mazurskiej kultury konkretny i namacalny kształt. Ta płyta nieprzypadkowo otrzymała tytuł „My, Mazurzy”.

Cicha nadzieja zebrania różnorodnych mazurskich utworów w jedno wydawnictwo pojawiła się w ełkiej Fundacji Wsparcia Nauki i Biznesu w początkach 2020 roku, czyli w czasach, gdy nie istniał jeszcze Mazurski Uniwersytet Ludowy w Ełku, który ostatecznie tę właśnie płytę wyprodukował.

Nabrać mocy musiał nie tyle sam pomysł, co efekty działań prowadzonych przez działający przy fundacji uniwersytet ich centrum stanowią Mazury wraz ze swoją historią, kulturą i dziedzictwem. Bo jak zrozumieć emocje w wierszu sprzed dwustu lat bez kontekstu historycznego? Bez tła do wydarzeń, o których czytamy?

Same wierzenia ludowe i związane z nimi przesady to skrzynia pełna skarbów! Napędzała je wiara w diabły, czarownice, kłobuki, topniki czy krasnoludki. Dziś takie postacie pojawiają się co najwyżej w utworach fantasy. A Mazurzy w nie wierzyli i, co więcej, był to na tyle istotny

element kształtujący ich codzienność, że nie mogliśmy pominąć go na płycie. Posłuchacie zatem o sposobach na złodzieja, na szczęście w nowym domu czy „zbrzydzenie macicy”. Do tego dograliśmy nieco zabawnych przypowieści przedstawiających scenki rodzajowe. W roli narratorów – słuchacze Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego.

Ale nie tylko oni zbudowali ten niematerialny mazurski pomnik, choć ogromna w tym ich zasługa. Są bowiem ludzie, którzy tak wprawili się w mówieniu o mazurskości, że można – i warto – się od nich tego uczyć. Na płycie nie zabrakło więc gościnnych głosów Moniki Wierzbickiej, Piotra Szatkowskiego i Karola Małka, jednak o nim później. Dyskografia Moniki, występującej pod pseudonimem Nina Nu, jest pokaźna. Wokalistka obok talentu muzycznego ma jeszcze jeden wyjątkowy dar do odkrywania tego, co zdążyła pokryć warstwa kurzu. Tak było i tym razem, bo na albumie znalazło się jej wykonanie pieśni żniwnej z XVIII wieku stworzonej przez księdza Bernarda Rostkowskiego, ewangelickiego proboszcza z Kalinowa pod Ełkiem. Monika powtarza, że pieśni są nośnikami pamięci, ale i emocji, a te z pewnością dadzą o sobie znać podczas słuchania tego utworu. Z kolei nie na emocjach, a na twardych historycznych faktach pracuje na co dzień Piotr Szatkowski – naukowiec, badacz mazurskiej tożsamości, popularyzator mazurskiej mowy. Mazursko godka to jego chleb powszedni.

Natomiast „zwykli zjadacze chleba” być może nigdy nie będą mieli szansy usłyszeć takiego języka na ulicy. Na płycie „My, Mazurzy” za to

mogą. W zamieszczonym fragmencie „Archipelagu ludzi odzyskanych” Newerly’ego Szatkowski otwiera przed odbiorcami sekretne drzwi do świata dawnych Mazurów. Jakim sposobem, zapytacie, na krążku zapisany został głos Karola Małłka? Zabieg ten wymagał dotarcia do archiwów Radia Olsztyn, w których kryje się cenna audycja z udziałem Króla Mazurów zarejestrowana w 1958 roku (65 lat temu!). A zależało nam na tym, bo Małłek to postać ważna w dziejach Mazur i Mazurów, i basta. Podsumowując: jaka jest płyta zrodzona w Mazurskim Uniwersytecie Ludowym w Ełku? Trochę ludyczna, trochę poważna. Podzielona na utwory, ale tworząca spójną opowieść. A przy tym wszystkim okraszona wrażliwością ełckiego muzyka, kompozytora i producenta muzycznego Marcina Pyciaka, który stworzył do niej ścieżkę dźwiękową na bazie współczesnej estetyki i ówczesnego kolorytu.

No dobrze. Tyle bogatych motywów utkanych z dobytku pokoleń przodków, a tytuł — banalny i jałowy. „My, Mazurzy”. Czy nie można było się bardziej wysilić? Jednak w tej prostocie tkwi przekaz. Przecinek nie jest tu dziełem przypadku. Z jednej strony oddziela dwa, na pozór odległe, światy — dawnych Mazurów i tych współczesnych, mieszkańców terenów od Gołdapi po Ostródę. Z drugiej to swoisty podpis osób zaangażowanych w powstanie wydawnictwa, które mówią o sobie „My, (czyli) Mazurzy”. Mazur to przecież ktoś, kto zamieszkuje Mazury. Prosta i zarazem tak naturalna interpretacja staje w kontrze do myślenia o Mazurach jako nie-licznych autochtonach tych ziem. Mazurskość jest trochę jak podskórna tkanka. Możemy emigrować w różne strony świata, ale częśćka Mazur zostanie w nas. Jeśli ktoś, kto stąd wyjechał, powie, że choć raz nie tęsknił za zachodem słońca leniwie zalewającego gładką taflę jeziora, to mu nie uwierzę. ■

*płyta na stronie: <https://fundacjawnb.org.pl/fundacja/publikacje/plyta-my-mazurzy>



Każdy je ma, choć czasem mówimy, że niektórym ludziom go brakuje. Może boleć nie tylko fizycznie. A kiedy jest złamane, to kończy się świat. Jeśli jest chore, to zdarza się, że życie również. Zbudowane z poprzecznie prążkowanej tkanki mięśniowej serce jest podatne na ludzkie wzloty i upadki. Czasem pomagają krople nasercowe.

„Krople nasercowe” to monodram pieśniarki i aktorki Marty Andrzejczyk poświęcony poetce Halinie Poświatowskiej, która przez całe życie „tańczyła ze śmiercią” z powodu choroby serca.

Małgorzata Sadowska: Co Cię łączy z Haliną Poświatowską? Fizycznie jesteście do siebie odrobinę podobne.

Marta Andrzejczyk: Z Haliną Poświatowską połączyła mnie Maria Jenny Burniewicz, która lata temu pokazała mi jej wiersze. Utonęła w nich moja romantyczna, kobieca dusza. Jenny napisała kilka piosenek do poezji Poświatowskiej. I już nie było odwrotu. Niektóre z pokazanych wtedy piosenek i jej poezja znalazły się na mojej pierwszej płycie pt. „Cicho”.

Teraz łączy mnie z Haliną Janina Tomaszewska, reżyserka i współautorka scenariusza monodramu „Krople nasercowe”. Spektakl inspirowany jest życiem i twórczością Haliny, ale od początku do końca to wyimaginowany przez nas świat, sen, który śni Halina przed śmiercią.

Zastanawiam się, czy czujesz z poetką i jej twórczością jakąś specyficzną więź. W słowach zamykają się przecież sposób myślenia, czasem cechy charakteru. Odnajdujesz się w nich?

Śmierć. Temat śmierci to temat, który eksploruję od ponad 20 lat i przejawia się w całej mojej artystycznej pracy. Płyta „Cicho” o śmierci, „Cienie” o wojnie, „Spadanie też jest formą lotu” z wierszami i prozą Sylvii Plath. Obecnie wraz z Izabelą Mańkowską-Salik przygotowujemy „Czerwoną Teczke — praktyczny testament”. Na początku mojej drogi artystycznej sięgnęłam po ten temat myśląc, że zrobię wszystkim (koleżankom, kolegom, jurorom) na przekór, wszyscy bowiem



Fot. z archiwum Marty Andrzejczyk

Z MARTĄ ANDRZEJCZYK rozmawia MAŁGORZATA SADOWSKA

Krople nasercowe

śpiewali o miłości. Teraz wiem, że nie był to ani przypadek, ani wybryk. Jest to temat, który przepracowuję na różnych płaszczyznach swojego życia.

Nie mogło go zatem zabraknąć w pracy artystycznej. Życie Haliny Poświatowskiej było naznaczone śmiercią. Wiedziała, że ma mało czasu. Nie wiedziała ile. To jej życie na krawędzi, na progu czasu chyba najbardziej przyciągało moją uwagę i ciekawość. Jak sobie poradzi, co zrobi, jakie podejmie decyzje i co stworzy? Jako poetka przekroczyła także temat tabu, pisząc, jak na tamte czasy, bardzo erotyczne wiersze. Jestem bardzo sensoryczna.

Trudno żyć, skoro radości przestonięte są nieuchronnością śmierci. Może dlatego pisała z wielowymiarową intensywnością?

Buszując w jej biografii, dowiedziałam się, że z jej pisaniem bywało różnie. Została namówiona do pisania. Miała różne okresy. Nie zawsze była przekonana do swojej twórczej mocy. Jak każdy artysta miała wiele kryzysów, a także przerwy. Ale faktycznie, pisała z wielowymiarową intensywnością, która była związana również z jej predyspozycją do zakochiwania się i romansów, w które wpadała niepostrzeżenie, ale bardzo intensywnie i często w nieodpowiednim, wydawałoby się, czasie. Choćby podczas podróży do Ameryki, której obawiano się, że nie przeżyje, a przeżyła u boku szermierza udającego się na mistrzostwa świata – Jerzego Twardokęsa.

Taki sposób bycia jest Ci bliski? Można go nazwać organicznym? Zapisanym w Twoich tkankach?

Może kiedyś, ale teraz nie jestem aż tak bardzo kochliwa jak Poświatowska. Rozumiem jej chęć „wzycia” się w życie, czerpanie garściami, łapanie chwil, celebrowanie bycia tu i teraz.

Nie dotknęła mnie żadna choroba, nie jestem w stanie przewidzieć i nie chcę wiedzieć, jak bardzo chciałabym i potrzebowałabym się „wżywać” w tak skrajnej sytuacji jak widmo rychłej śmierci. W tkankach każdego z nas zapisane jest obumieranie. Korzystanie z zasobów takich jak zmysły jest wielkim przywilejem. W obecnych czasach coraz bardziej zwracamy się ku duchowości, ku świadomości

siebie, ku rozwojowi. Wsluchiwanie się w swoje ciało i serce powinno być punktem wyjścia do naszego życia.

A jaką Poświatowską chciałaś przedstawiać publiczności? W monodramie dźwigasz wszystko sama, można dostać zadyszki. Na scenie jesteś sama, jednak praca nad „Kroplami nasercowymi” to wynik Twojej artystycznej relacji z innymi ważnymi kobietami. Co Ci dały? A co im oddałaś?

Przed premierą zażywałam dużą dawkę kropli nasercowych, napary z melisy były „normalką”. Zadyszka towarzyszy mi coraz rzadziej, bo pracuję nad kondycją. W listopadzie, kiedy pracowałam nad monodramem najintensywniej, zdarzało mi się nie panować nad oddechem, zwłaszcza podczas pierwszej, nieco cyrkowej sceny. Wtedy Janina delikatnie przypominała o zażyciu kondycyjnych kropli.

Kobiety-artystki-wiedźmy. Mam do nich ogromne szczęście i są moim wielkim darem od wszechświata. Janina Tomaszewska prowadziła mnie w drodze do finału. Wspierała wiedzą, tworzyła scenariusz, poszukiwała, reżyserowała, ale także obdarowywała darami z ogrodu, gotowała mi, bo pracowałyśmy w jej domu pod Lidzbarkiem Warmińskim. „Kilogram piosenek do Poświatowskiej poproszę” – takie zamówienia składałam z kolei u Jenny Burniewicz. Był w tym procesie też Piotr Banaszek, który stworzył najpiękniejsze i najbardziej wrażliwe aranżacje muzyczne.

Na scenie uwielbiam być sama, nie dzielę się wtedy z nikim atencją i spojrzeniami widzów. ■



Cenzura i granice w sztuce

Oczy, dłonie, mózg i serce.

Intelektualna i emocjonalna
prowokacja

Wiele wynalazków zabije nas, spowoduje kolejny

wielki wybuch z genialnych pomysłów

czute-widziane-wiedziane

w zmysłowych rysach imaginacji.

Gra dla artysty

w- Ostrzegamy, może zaskoczyć
nt samych młodych twórców! -
się zachęcają organizatorzy wyda-
eci rzenia.

„Tu i Teraz”:

z impetem w powietrze,

„Tu i Teraz”:

...hop błyskawica

„Tu i Teraz”:

widzę wszystko z bliska,

sens słów jest tylko formą,

nieograniczone prawa gry wyobraźnią,

skutek światła: „jasność”

w następnej chwili

zabójstwo języka,

GŁOS ARTYSTYCZNEJ DOJRZAŁOŚCI

I to jest przyczyna trzecia.